

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 grudzień 2017, nr 19

*By każdy dzień 2018 roku
stał się wspomnieniem,
do którego warto wracać.*

Tego życzymy naszym Czytelnikom.

Gmina w obiektywie

Kto wymyślił choinki?

*„...był taki czas na świecie,
że wcale nie było choinek,
ani jednej, i dzięcioł wrywał sobie piórka
z rozpaczy, i płakała wiewiórka,
co ma ogonek jak dymiący kominek.*

*Ciężkie to były czasy niepospolicie,
bo cóż to, proszę was, za życie
na święta bez choinki, czyste kpinki...”.*

Konstanty Ildefons Gałczyński



22



13



16



41



31

Spis treści

- 6** Od Redakcji
- 7** Mam tu coś do załatwienia
...aktorem się jest, a nie bywa od czasu do czasu
- 13** Z kolędą w tle
...mamy nadzieję, że stanie się coroczną tradycją i nabierze rozmachu
- 16** Co ta góra w sobie ma?
...warto wrócić do korzeni i pójść na Kilimandżaro
- 22** Pomysł na życie
byłam jak brzydkie kaczątko odsuwana od wszystkiego
- 28** Tu prowadzą pingwiny
...każdy może wypożyczyć łyżwy i spróbować swoich możliwości
- 30** Palec boży
...tym antkiem, czyli samolotem An-24, miałem z żoną i córką lecieć do Krakowa
- 36** Łakocie Natalii
...wpadłam na pomysł, by robić słodką, ciasteczkową biżuterię
- 41** Smak jest w palcach
...nie biegam z książką kucharską i nie zaglądam, co jak zrobić
- 46** Matka jest najważniejsza
...najlepiej codziennie próbować i sprawdzać, jak zmienia się jej smak
- 48** Dla każdego coś dobrego
...propozycje prosto z restauracji „Gusto”



7



30



36



Od Redakcji

Rok 2017 mamy z głowy. Jesteśmy z niego zadowoleni, bo byli z nami Czytelnicy i każdy nakład „mojej Lesznowoli” zniknął błyskawicznie z półek. Przez cały rok odbieraliśmy wyrazy sympatii, co znaczy, że miesięcznik trafił do tych, dla których go stworzyliśmy.

Mamy powód do zadowolenia i dlatego uważamy, że rok 2017 nam się udał. Żywimy nadzieję, że naszym Czytelnikom także i że rok nadchodzący nie będzie gorszy. Czego Wszystkim życzymy.

W tym numerze przedstawiamy Czytelnikom przede wszystkim niezwykle mieszkanki naszej gminy. Kobiety, które mają różne doświadczenia życiowe, wykonują różne zawody i mają jedną wspólną cechę – silny charakter. Mają też pomysł na życie.

Panie, które przedstawiamy w tym numerze to dwie Ewy, Katarzyna i Natalia.

Jedna Ewa jest aktorką, druga była dyżurną ruchu kolejki wąskotorowej w Piasecznie, a teraz pisze wiersze. Katarzyna właśnie wróciła z Afryki i opowiada, co przeżyła i po co tam pojechała. Natalia, najmłodsza bohaterka naszych opowieści, jeszcze do końca nie wie, co będzie w życiu robiła, ale konsekwentnie, krok po kroku spełnia swoje marzenia.

Panowie to Mariusz i Zbyszek. Pierwszy budował między innymi port lotniczy na Okęciu, hotel Marriott w centrum Warszawy, miał niezwykle ciekawe życie i dzięki zbiegowi okoliczności, który uważa za „palec boży”, uniknął śmierci w katastrofie lotniczej.

Drugi przeszedł długą drogę od chłopaka ze wsi, pomagającego ojcu hodować świnię, do restauratora, który ma restaurację w naszej gminie i gości w niej wielu znanych ludzi. Przy okazji tej znajomości na naszych kulinarnych kolumnach zaprezentujemy potrawy z jego restauracji.

Co jeszcze? Fotograficzne relacje z jarmarku w Lesznowoli, lodowiska, którym możemy się chwalić i z wizyty na zajęciach w Klubie Kobiet „Panie przodem”.

Milej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX
WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

Mam tu coś
do zatatwienia

fot. z archiwum prywatnego Ewy Dec

Jedna z Czytelniczek zagadnęła nas przy jakiejś okazji: „Kiedy napiszecie o naszej Ewie?” – A kim jest „nasza Ewa”? – odpowiedzieliśmy pytaniem na pytanie i natychmiast wszystko było jasne. „Nasza Ewa” to Ewa Decówna, aktorka. Umówiliśmy się na spotkanie.



Ewa Decówna, bo tak o niej mówią wszyscy, miała szczęście i do dobrych reżyserów, i do wspaniałych ról. Potwierdzenie tego mamy na piśmie. Krystyna Szafraniec, dyrektor Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego, i Henryk Baranowski, reżyser teatralny, scenarzysta, aktor, scenograf, a także były dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Śląskiego w Katowicach, z okazji wspomnianego jubileuszu pracy wręczyli pani Ewie list. Czytamy w nim między innymi:

„W pamięci bywalców Teatru Śląskiego pozostały Pani wielkie, dramatyczne role, takie jak Szymena w *Cydzie*, Katarzyna Masłowa z *Zmartwychwstaniu*, Barbara Radziwiłłówna w *Kronikach królewskich*, Lady Milford w *Intrydze* i miłości czy Anna Karenina.

Te postaci są niezapomniane, na zawsze związane z Pani osobą. Ale chyba warto przypomnieć również te, które we wspaniały sposób uzupełniały Pani emploi tragiczki o różnorodne akcenty – dając Pani szansę ukazania bogactwa możliwości aktorskich, od ról w sztukach obyczajowych czy nawet nieco komediowych, poprzez postaci wręcz z teatru surrealistycznego aż po wykreowanie bohaterki pełnych prawdziwego, uwodzicielskiego piękna.

Niepokorna Hesja w *Moralności Pani Dulskiej*, pozbawiona władzy nad ludzkim losem Śmierć w *Śmierci na gruszy*, kusząca Mariquita w *Teatrze Klary Gazul*, liryczny Orcio w *Nie-Boskiej komedii*, Ala w *Tangu*, dumna Feniksana w *Księżciu niezłomnym* czy tęskniąca za Moskwą Masza w *Trzech siostrach*.

Pani Ewa czekała na nas przed domem na Kwiatowym Osiedlu. Potem padły pytania – „Kawa czy herbata? Jedna łyżeczka cukru czy może miód?” – i byliśmy gotowi. Zajęliśmy miejsca na kanapie. Pani Ewa wybrała miejsce na podłodze i zaczęliśmy rozmawiać. (Nawiasem mówiąc, świetnie na tej podłodze wyglądała).

Aktorem się jest

Na początek pani Ewa wspomniała swój aktorski jubileusz czterdziestolecia w teatrze w Katowicach, powiedziała, że miała szczęście grać u świetnych reżyserów. Nie pytaliśmy u kogo, w jakich spektaklach,

filmach, bo wiedzieliśmy, że przyjdzie na to czas. Słuchaliśmy – jak to się teraz mówi – swobodnej wypowiedzi, bo pani Ewa chciała nam najpierw zasygnalizować, że jest w takim momencie zawodowego życia, w którym nie gra. Mówiła, że aktor przeciętny, jeśli gra, to ma szansę się rozwinąć, a jeśli aktor nawet najlepszy na dłuższy czas rozstaje się ze sceną, to potem z poczucia odpowiedzialności zaczyna się bać powrotu. Bo aktorem się jest, a nie bywa od czasu do czasu. Tu pani Ewa powołała się na świętej pamięci mistrza Gustawa Holoubka, który zawsze tak twierdził i z którym w stu procentach w tej kwestii się zgadza.



...aktorem się jest,
a nie bywa od czasu do czasu



Każda inna, każda poruszająca, każda zapadająca na zawsze w pamięć. Pani sztuce i talentowi powierzali postaci głównych bohaterów tacy znakomici reżyserzy i artyści, jak Lidia Zamkow, Józef Szajna, Mieczysław Górkiewicz, Ignacy Gogolewski, Józef Para czy Kazimierz Kutz”.

Czy moglibyśmy lepiej opowiedzieć o aktorze niż zrobili to ci, którzy ją znali? Wspomniany Henryk Baranowski w styczniu 2006 roku napisał „O Ewie Decównie, to co wiem”. A co wiedział? Co napisał?

„Przed prawie trzydziestu laty spotkałem w Katowicach piękną, choć nieosiągalną dla mnie kobietę. Nazywała się Ewa Decówna. Kiedy zobaczyłem ją jako Maszę w *Trzech siostrach*, zrobiła na mnie wrażenie nie do zatarcia. Pamiętam ją do dziś, siedzącą w bujanym fotelu, i jej głos, niepokojąco niski, a było coś w tym głosie bardzo szczególnego. Wtedy nie bardzo wiedziałem, co to jest. Dzisiaj, gdy jestem o trzydzieści lat starszy, wydaje mi się, że tajemnicę głosu Ewy odgadłem. Była w nim przede wszystkim prawda...”.

Skoro już co nieco dowiedzieliśmy się o pani Ewie, to najwyższy czas, aby ona opowiedziała nam o sobie.

Ewa z Rypina

– Urodziłam się w Rypinie, mieście na szlaku wiodącym z Kujaw na Warmię i z Pomorza na Mazowsze. Było nas pięcioro rodzeństwa. Piotruś, Adaś, ja, Rysio i Andrzej. Żyje z tej czwórki tylko Andrzej, który ma osiemdziesiąt lat.

Moja mama zmarła na raka, gdy miałam niespełna dwanaście lat. Bardzo długo chorowała. Była wspaniałym człowiekiem. Uwielbiała pomagać ludziom. Pracowała w PCK i wydziale oświaty urzędu w Rypinie. Tata był nauczycielem języka francuskiego i szachistą. Był też instruktorem szachowym i mnie tej gry nauczył. Gdy miałam trzy i pół roku, już grałam w szachy.

Na lekcje pianina chodziłam do pani Kowalskiej, a gry na skrzyp-

cach uczył nas w domu tata, bo też grał na skrzypcach.

Mieszkaliśmy wraz z trzema rodzinami w poniemieckim bloku. Blok był piętrowy z tak zwaną facją, czyli poddaszem mieszkalnym, i miał drewniane schody. Co tydzień jedna rodzina szorowała schody z góry do dołu. Gdy wypadło na naszą rodzinę, schody szorowała ja. Opiekowała się nami babcia i opiekunka Lila, bo mama często z racji swojej pracy wyjeżdżała na różnego rodzaju konferencje.

Pamiętam, że puchły jej nogi. Gdy wracała do domu, często moczyła je w ciepłej wodzie i lubiła, gdy ją podczas tego moczenia nóg cesałam. W ten sposób odpoczywała.

Ja byłam dziewczynką szaloną. Biegałam po osiedlu z chłopakami, jeździłam na rowerze...

Gdy mama umarła, jedna ciocia chciała mnie zabrać do Stanów, druga do Częstochowy, a ja chciałam być w domu. Razem z rodziną.

Opuściłam Rypin, gdy miałam trzynaście lat. Wyjechałam z moim młodszym bratem do domu dziecka w Aleksandrowie Kujawskim, bo tata po śmierci mamy nie dawał sobie rady z wychowaniem naszej piątki. Tam chodziłam do podstawówki. Dwa obrazki z tamtego okresu zostały w mojej pamięci. Pierwszy, gdy w kinie w Rypinie recytowałam balladę Adama Mickiewicza *Lilie* i drugi, gdy do Rypina przyjechała sławna polska pianistka Halina Czerny-Stefańska i grała w kinie *Etiudę rewolucyjną*.

To było z okazji święta 22 lipca. W przeddzień koncertu dostałam tekst wiersza, który miałam recytować podczas koncertu. Wiersz wycięty z tygodnika „Przyjaciółka” miał chyba siedem zwrotek i mówił o tym, jak pańską ziemię PKWN rozdał chłopom. Nauczyłam się tego wiersza przez noc.

Wtedy nie czułam żadnej odpowiedzialności. Recytowałam, bo sprawiało mi to ogromną przyjemność.

Skończyłam szkołę podstawową i zastanawiałam się, co robić dalej.

Wybrałam technikum przemysłu cukrowniczego w Toruniu. Zamieszkałam w Domu Młodzieży „Młody Las” przy ulicy Sienkiewicza. Chodziłam na wszelkie możliwe zajęcia pozaszkolne. Pamiętam, że kółko teatralne prowadził Witold Tokarski, aktor teatru im. Wilama Horzycy. Śpiewałam, brałam udział w konkursach recytatorskich, nawet dostałam nagrodę za recytację wiersza Władysława Broniewskiego *Ulica Miła*.

Po pięciu latach opuszczałam „Młody Las” z dyplomem technika technologa ze specjalnością cukrownictwo. Wspomniany Witek Tokarski powiedział: „Ewa, ty zdawaj do szkoły teatralnej w Krakowie”.

Jednak Kraków

– To nie było tak, że posłuchałam Witka i z Torunia pojechałam do Krakowa. Jako osoba odpowiedzialna złożyłam papiery na Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu na wydział chemii. Ponieważ egzaminy do szkoły teatralnej były wcześniej niż na uniwersytet, wysłałam też papiery do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. W dniu egzaminu ubrałam się w granatową sukienkę z białym kołnierzykiem i jak dziewczynka z domu dziecka przyjechałam nad ranem do Krakowa.

Poszłam do szkoły na ulicy Starowiślniej, na górę do akademika. Pukam i pukam do pierwszych drzwi, wreszcie pokazała się w okienku dziewczyna o pięknych oczach. Powiedziała jej, że przyjechałam na egzamin, a ona na to: „Dobra, wchodź i prześpij się do rana obok tej małej”. Ta dziewczyna to była Wanda Wieszczycka, późniejsza moja koleżanka z roku, a ta mała to Ela Karkoszka, wspaniała aktorka, z którą się bardzo zaprzyjaźniłam.

Na egzamin przygotowałam monolog Diany z *Fantazego* Juliusza Słowackiego, wiersz Władysława Broniewskiego *Ulica Miła* i fragment prozy z noweli Stanisława Żeromskiego *Rozdziobią nas, kruki, wrony*.

Niestety, nie przygotowałam żadnej piosenki, więc kiedy komisja kazała mi coś zaśpiewać, wydarłam się ile sił w piersiach: „Poszła Karolinka do Gogolina, a Karliczek za nią jak za młodą panią z flasecką winą”. Komisja omal nie pospadała z krzesła, ale zostałam przyjęta. Do szkoły zdawało nas wtedy ponad trzystu kandydatów na jedno miejsce.

Z początku było trudno. Profesor Danuta Michałowska miała poważne zastrzeżenia do mojej dykcji, ale gdy na egzaminie kończącym drugi rok zagrałam Marię Stuart zdarzyło się coś, co się na egzaminach nie zdarza często. Dostałam brawa.

Skończyłam studia w Krakowie i wyjechałam jako aktorka na rok do Bielska-Białej. Potem jedenaście lat grałam w Teatrze Śląskim w Katowicach i jedenaście lat w teatrach w Warszawie. W Teatrze Dramatycznym pod dyrekcją Gustawa Holoubka, w Teatrze Powszechnym im. Zygmunta Hübnera i w Teatrze Ochoty u Haliny i Jana Machulskich. W sezonie 2000/2001 występowałam na deskach Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu.

Od 1979 do 2003 roku zagrałam w kilkudziesięciu filmach.

Kobieta pracująca

– Przed spotkaniem z państwem zastanawiałam się, czy ja mogłabym w życiu robić coś innego? I szybko sama sobie odpowiedziałam. Przecież ja, będąc aktorką, robiłam coś innego. Sprzedawałam amerykańskie odkurzacze, opiekowałam się cudzymi dziećmi.

Gdy trzydzieści pięć lat temu w stanie wojennym aktorzy ogłosili bojkot mediów, wzięłam pod pachę swoją walizkową maszynę do szycia i zgłosiłam się do otwieranego właśnie hotelu Marriott. Jola Nowak, koleżanka, z którą do dziś się przyjaźnię, zapytała: „Ewciu, a nie chciałabyś sobie dorobić? – Oczywiście, że bym chciała”. I tak zaczęłam skracać, zwężać, poszerzać, przerabiać, czyli szyć na maszynie w hotelu Marriott.



...kocham
ludzi
i chcę być
sobą

W tym czasie przygotowywałam dla Teatru Ochoty recital piosenek Édith Piaf i Marleny Dietrich. Jechałam kiedyś hotelową windą, nuciłam sobie coś Piaf i spotkałam jedną ze znajomych dziennikarek radiowych, Annę Retmianiak. Zapytała: „Pani Ewo, co pani tutaj robi? Ma pani jakieś spotkanie, występ? – Nie, ja tu szyję” – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Byłam z tego dumna, że potrafię szyć, że potrafię się wieloma rzeczami zająć.

Ambasador

– Zobaczył mnie na scenie Teatru Ochoty. Byłam wtedy aktorką Teatru Dramatycznego i występowałam gościnnie u Haliny i Jana Machulskich na Ochocie. To był chyba rok 1987, premiera sztuki Eduarda Hoornika *Ten trzeci*. Koleżanki z teatru, Gabyria Kownacka i Tina Winnicka, powtarzały podniecone: „Na widowni jest ambasador Holandii, ambasador Holandii...”.

Wychodzę do finału w pięknej żorzetowej sukience, kłaniam się i czuję błękitne oczy wpatrzone we mnie, jakbym była jedyna na świecie. „To ten ambasador – powiedziały dziewczyny. – Boże, fajny...” – pomyślałam.

Przebrałam się po spektaklu i zesłałam do kawiarenki przy teatrze,

a tam... ambasador. Powiedziała mi po angielsku, że jestem szczęśliwa i zaprosiła pana ambasadora do Teatru Dramatycznego na spektakl Ireneusza Iredyńskiego *Dziewczynki*, w którym z Zofią Rysiówną grałyśmy dwie główne role. Ona rolę ciepłej, marzycielskiej Justyny, ja grubo ciosanej Bożeny. Załatwiłam na jakiś dzień dobre miejsce w dziesiątym rzędzie na środku i pomyślałam: „Niech przyjdzie, niech zobaczy, jaką jestem aktorką”.

Wyglądałam zza kurtyny i nagle patrzę, idzie mój sztywny ambasador, ale nie jest sam. Idzie obok niego jakaś niższa trochę ode mnie, szczupłutka, krótko ostrzyżona kobieta. Ani nie powiedział „dziękuję” za zaproszenie, ani „pocałuj mnie w nos”, nawet kwiatka nie przysłał. „Co za cham jakiś, ten Holender pieprzony” – pomyślałam i go skreśliłam.

Minęło jakieś pół roku, wyjechaliśmy z teatrem na występy za granicą. Do Belgii i Holandii. Po powrocie dalej graliśmy w Teatrze Ochoty wspomnianą już sztukę Eduarda Hoornika *Ten trzeci*. Nagle dostałam telefon, że pan Robertson, czyli ambasador, a tak naprawdę pierwszy sekretarz ambasady Królestwa Holandii, będzie w teatrze i po spektaklu chce się ze mną zobaczyć. Nie bardzo wiedziałam, czy zgodzić



...teatru
brakowało mi
jak powietrza

powinno zrobić sobie w Polsce wszelkie profilaktyczne badania.

Posłuchałam jej. Moje rzeczy jechały już do Holandii, a ja odbierałam wyniki badań. Zrobiłam mamografię i powiedziano mi, bym poczekała chwilę, bo są na obrazie jakieś mikrozwapnienia. Zatelefonowałam do znajomej, a ona natychmiast umówiła mnie ze swoim lekarzem. Pan doktor popatrzył, pobrał i powiedział: No cóż, może to być tylko nowotwór, a może nowotwór złośliwy. Trzeba pobrać do badania próbki i będziemy wiedzieli”.

Ale nie poszłam na pobranie próbek, bo zaprzyjaźniony profesor powiedział: „Ewa, jedziesz do dobrobytu. Tam pewnie mają bardziej zaawansowane metody leczenia nowotworów, więc zrobisz to wszystko tam”. I tak zrobiłam... Nowotwór był złośliwy.

Zbliżała się Wielkanoc 1993 roku. 15 kwietnia miałam pierwszą operację. Potwornie się bałam. Ale nie operacji, tylko tego, że nie znam jeszcze języka i nie rozumiem, co będą do mnie mówili i coś pokręcę. Po trzech dniach przyszedł do mnie mój Holender Jan Johan Piter z lekarzem. Stał nade mną, powtarzał ze łzami: „Ewika, Ewika” – bo okazało się, że nie jest dobrze i czeka mnie kolejny zabieg.

Po pięciu dniach miałam następną operację. Usunięto mi węzły chłonne i wszystko, co było do usunięcia. Po tem dostałam serię zastrzyków, które miały zasuszyć komórki nowotworowe, jeśli jeszcze jakieś były w moim organizmie.

Cztery lata mieszkałam w Holandii. Zwiedzaliśmy świat, chodziłam po muzeach, dużo czytałam, uczyłam się języka niderlandzkiego, nadrabiałam wszystko, na co, pracując w teatrach, nie miałam czasu. W Holandii wprawdzie nie grałam w teatrze, ale miałam okazję występować dla Polonii z recitałem piosenek Marleny Dietrich i Édith Piaf.

Teatru brakowało mi jak powietrza, a bez powietrza żyć się nie da. Byłam zmęczona chorobą i Holandią. Minęło cztery i pół roku, kiedy powiedziałam mojemu Holendrowi, że muszę na jakieś dwa, trzy miesiące wyjechać do Polski. Powiedział: „Nie. Jak wyjedziesz, to już nie wracaj”. Wyjechałam. Rozeszliśmy się w zgodzie.

Do naszej gminy trafiłam blisko dwadzieścia lat temu. Zaraz po tym, jak wróciłam z Holandii. Wróciłam wolna, rozwiedziona, bo nie mogłam żyć bez teatru. Mogłam tam robić wszystko, ale nie mogłam występować w teatrze.

Wróciłam z przekonaniem, że skoro tyle osób mówiło mi, jaka jestem wspaniała, to o zajęcie nie będzie trudno. A tu guzik. Jakieś drobne, śmieszne propozycje i nic więcej. Ale nie narzekam. Zagrałam w kilkunastu filmach, śpiewałam ulubione piosenki Édith Piaf i Marleny Dietrich, występowałam gościnnie w teatrach. Miałam szczęście do pięknych ról i wspaniałych reżyserów.

Teraz, świadoma odpowiedzialności, nie chcę już grać. Kocham ludzi i chcę być sobą. Mam tu na ziemi jeszcze coś do załatwienia. Mam syna Rafała, synową Izę, kochane wnuczki Joasię i Alinkę. Mam pierwszego męża, którym się opiekuję. Ludzi, których kocham, i ludzi, których spotykam. To mało? ■



Z koleśdą w tle



Był pierwszy, może trochę nieśmiały. Mamy jednak nadzieję, że stanie się coroczną tradycją i nabierze rozmachu. Pierwszy w Lesznówoli jarmark świąteczny wyrósł tuż przed urzędem gminy. Była wielka choinka i Mikołaj z Rudolfem. Zabrakło tylko... śniegu.



Kolorowe świąteczne jarmarki są tradycją wielu miast. Mają swój klimat i zagorzałych zwolenników. Są zapowiedzią zbliżających się świąt. Kuszą ozdobami i zapachem potraw. A kiedy jeszcze nad głowami unoszą się dobrze znane kolędy, powstaje pocztówkowy obrazek, który najlepiej byłoby zamknąć w szklanej kuli. Takiej, która obsypie śniegiem stoiska, gdy tylko nią poruszymy.

Jarmark w Lesznówoli wyrósł wokół wioski świętego Mikołaja. Mikołaj przybył na czerwonych saniach zaprzężonych w rogatego Rudolfa, a razem z nim elf i dobrze znana wszystkim dzieciom mikołajowa poczta. Jak dowiedzieliśmy się, skrzynka na listy była już pełna.

Gdy Mikołaj był zajęty pozowaniem do zdjęć, ze sceny rozbrzmie-

wały dźwięki kolęd i pastorałek w wykonaniu szkolnych zespołów i dzieci z Gminnego Ośrodka Kultury. W tym roku zdecydowanie dominowały stoiska przygotowane przez szkołę z terenu naszej gminy.

Swoje wyroby dumnie prezentowali uczniowie, ich rodzice i nauczyciele. A poza tym były świąteczne stroiki, bombki, kolorowe choinki i ręcznie wyrabiane zapachowe zawieszki obok pachnących mydełek, idealnych na upominki. Były smażone bombki i białe wełniane bałwanki. Była świąteczna biżuteria, wyglądająca jak słodkie ciasteczka i słodkie lizaki, wyglądające jak Mikołaje. Na kulinarnych stoiskach dominowały różnego rodzaju ciasta, a poza tym pyszne miody prosto z pasieki, tatarska chałwa, cebulaki

z różnym nadzieniem, wyroby z borówki amerykańskiej, musy i odsmażane pierogi. Była też gorąca herbata, kawa, czerwony barszcyk i pachnące pierogi dla zmarzniętych, a dla zmarzniętych podwójnie, ciepłe czapki.

Świąteczne jarmarki mają to do siebie, że wywołują tylko pozytywne emocje i ludzie stają się dla siebie miłsi. Mamy nadzieję, że ten pierwszy jarmark w Lesznówoli będzie początkiem nowej tradycji. Okazją do prezentacji wielkiej oferty świątecznych wyrobów i będzie przyciągał tłumy kupujących nie tylko z naszej gminy. Kiedyś na kolorowe stoiska spadnie śnieg, a wtedy obrazek zimowego miasteczka stanie się kompletny. ■



Co ta góra w sobie ma?



Podczas tegorocznego Święta Dyni poznaliśmy mieszkankę Mysiadła, panią Katarzynę Przemyską. Nie było czasu na rozmowę, bo bardzo się spieszyła. Dowiedzieliśmy się tylko, że wyjeżdża do Afryki, by wejść na Kilimandżaro. Umówiliśmy się na spotkanie po powrocie.

W oczekiwaniu na powrót pani Katarzyny z Afryki, zajrzeliśmy na stronę FB, by się o niej czegoś przed spotkaniem dowiedzieć. Przeczytaliśmy: „Zwolenniczka aktywnego trybu życia. Uwielbia pływanie i rower, miłośniczka wspinaczki skałkowej. Od wielu lat entuzjastka szeroko pojętej ekologii z zapalem wprowadza w życie rozwiązania proekologiczne: kolektory słoneczne, przydomowe oczyszczalnie, inwestuje w elektrownie wiatrowe. Z wykształcenia mgr inż. technolog drewna. Szczęśliwa mama szóstki wspaniałych dzieci”.

Na Kilimandżaro

– Ponieważ wracałyśmy z upalnego kontynentu, na Okęciu wylądowałyśmy w „afrykańskich ubiorach”, a tu zimno, mokro, ponuro. Pogoda nas przywitała niezbyt mile – powiedziała na dzień dobry pani Katarzyna. – To o czym mam opowiadać? – zapytała. – O wszystkim od początku, tym bardziej że już w jednym z numerów

fot. z archiwum prywatnego Katarzyny Przemyskiej

(*Niejedno Kilimandżaro* „moja Lesznowola” nr 9) pisaliśmy o mieszkance naszej gminy, która weszła na Kilimandżaro. Była to Małgorzata Kurtyka-Koziół.

Podczas tamtego spotkania powiedziała nam tak: „Radość rozpierała moje serce, że stoję na tym Dachu Afryki (5895 m n.p.m.), że zrobiłam to z solidarności z tymi, co są na początku walki, by wlać w ich serca wiarę. Z tymi, co stanęli na mojej drodze i byli mi wsparciem”. Pani Małgorzata poszła na Kilimandżaro po walce z nowotworem, by pokazać, że mimo tego, co przeżyła, można normalnie funkcjonować.

Byliśmy ciekawi, co powie nam pani Katarzyna, ale poprosiliśmy, by opowiadała tak, aby nasze Czytelniczki, które być może zechcą iść śladem obu wymienionych pań, dowiedziały się o wyprawie, motywach wspinaczki i organizacji jej jak najwięcej. Może się przyda.

– Jest takie stowarzyszenie „Kilimandżaro” – zaczęła opowieść pani Katarzyna. – Stowarzyszenie powstało prawie dziesięć lat temu. To grupa kobiet, które w trudnej sytuacji życiowej spotykały się przy okazji różnego rodzaju warsztatów i szkoleń.

Na jednych takich zajęciach padło pytanie: „Co jest dla was zupełnie nierealne, co jest nie do zdobycia, nie do osiągnięcia?”. Któraś z dziewczyn rzuciła, że wejście na Kilimandżaro.

Potem, jak to mówi młodzież, dziewczyny zaczęły odpowiedź rozkminiać, rozkładać na drobne, czy to rzeczywiście jest takie nieosiągalne. Doszły do wniosku, że jak się chce i jak się zorganizuje, to jest możliwe. I tak w 2009 roku doszło do pierwszej wyprawy na Kilimandżaro.

Potem ta grupa przekształciła się w stowarzyszenie. Wtedy dołączył do niego nasz alpinista Leszek Cichy, a na Kilimandżaro szła z grupą aktorka Małgorzata Foremniak. Wprawdzie nie wszystkie dziewczyny zdobyły szczyt, ale wyprawa się udała. Wydarzenie było nagłośnione medialnie, miało wielu sponsorów i dzięki temu pod niektórymi względami było łatwiej.

Potem padło hasło „kobiety na wulkany”. Co jakiś czas dziewczyny organizują wyprawy na różne góry świata, ze wskazaniem na wulkany. Były już na Araracie, na Damawendzie, na Orizabie w Meksyku. Od tego czasu skład grupy bardzo się zmienił, doszło wiele nowych dziewczyn i stwierdziły one, że warto wrócić do korzeni i pójść na Kilimandżaro.

Ja ze stowarzyszeniem zetknęłam się parę lat temu. Los sprawił, że znalazłam się w trudnej sytuacji życiowej. Dwa lata temu zmarł mój mąż. Był człowiekiem gór, jeździł na nartach i był moim partnerem do wspinaczki. Wraz z jego śmiercią zmieniło się całe moje życie. Nawiązałam kontakt ze stowarzyszeniem. Zaczęłam bywać na powyprawowych spotkaniach i bardzo pociągało mnie, że to są takie normalne kobiety. Mają domy, dzieci, na co dzień nie są takie bardzo usportowione, zawodowo nie chodzą po górach, jednak są w stanie postawić sobie cel, przygotować się i go zrealizować. Wejść na górę.



...to są takie
normalne kobiety

W 2016 roku w żartach powiedziałam do głównej liderki naszej późniejszej grupy kilimaniaczek, Agaty Cygańskiej, że jak będą szły na Kilimandżaro, to z nimi pójdę. Na początku tego roku odebrałam telefon: „Kasia, jedziemy na Kilimandżaro”.

Kili potrzeba chwili

– Słowo się rzekło, no to jedziemy, zwłaszcza, że samej byłoby mi trudno nawet dołączyć się do wyprawy, a tu pojawiła się okazja, by pojechać do Afryki i zobaczyć ją od strony, której nie oglądają turystyczne wycieczki.

Zaczęły się przygotowania do wyprawy, a wśród nich wyjazdy kondycyjne w góry. Na wiosnę byłyśmy na Śnieżce, na jesieni w Tatrach, do tego doszły spotkania w Puszczy Kampinoskiej, plus spotkania logistyczne, bo wyprawę organizowałyśmy same.

Trzeba było tam na miejscu w Afryce znaleźć agencję, która nam wyprawę zorganizuje, bo samemu nie można wejść do Parku Narodowego Kilimandżaro w Tanzanii. Trzeba to zrobić za pośrednictwem agencji. Przez Internet robiłyśmy rezerwację hoteli, pensjonatów i kampingów. Przez Internet ustalałyśmy trasy wyprawy. Główny ciężar tych działań wzięła na siebie Agata. Na takie logistyczne działania był przeznaczony cały rok.

Zbliżał się termin wyjazdu, a do końca nie było wiadomo, jak się do niej przygotować, bo dochodziły do nas różne informacje: że spadł śnieg, że są trudne warunki, że trzeba zabrać ze sobą raki. Zaczęła się wielka akcja ściągania raków dla dwunastu osób. Dla dziewczyn głównie z Warszawy i okolic, ale też na przykład z Wrocławia.

Od razu informuję, że nie są to usportowione dwudziestoparolatki. Najmłodsza osoba, która dołączyła w tym roku do stowarzyszenia, ma 35 lat, a najstarsza, która weszła na Kilimandżaro, ma 71. Są to więc dziewczyny średnio około pięćdziesiątki, które lubią ruch, lubią sport. Niektóre pasjami chodzą po górach, więc tym było zdecydowanie łatwiej, ale były i takie, które weszły na Kilimandżaro bez wcześniejszych doświadczeń górskich, choć oczywiście się przygotowywały.

Większość dziewczyn to kobiety, które pracują u siebie, same sobie są szefowymi, ale były też dziewczyny, które pracują na etacie. Była wśród nas dentystka, matka wychowująca dziecko, emerytka, grafik komputerowy, lekarz, coach jeden, drugi, przedszkolanka, pielęgniarka. Wszystkie aktywne zawodowo.

16 października wyleciałyśmy z lotniska Okęcie do Tanzanii z przesiadką w Amsterdamie. Zawsze podczas takiej wyprawy jest hasło przewodnie. Poprzednie było „Orizaba to też baba” i dotyczyło wulkanu w Meksyku. Teraz, podczas spaceru po Puszczy Kampinoskiej, powstało hasło „Kili potrzeba chwili”. Mojego zresztą autorstwa.

Wieczorem dotarliśmy do Moshi w Tanzanii. Na lotnisku dosyć długo trwało załatwianie formalności, bo i zdjęcia, i oczekiwanie na wizę. Żeby bagaż główny nie był za wielki i za ciężki, sporo rzeczy wzięłyśmy do podręcznego albo wręcz włożyłyśmy na siebie. Byłam więc bardziej w rynsztunku jesienno-zimowym niż letnim, a na lotnisku „Kilimanjaro Airport” gorąco. Myślałam, że pójde do toalety i zdejmę te ciepłe rzeczy. Owszem, toaleta była, ale za bramkami. Najpierw trzeba przejść odprawę i tak dalej, a ja miałam na sobie najcieplejsze kalesonki, jakie istnieją, i spodnie wyprawowe... Od góry można się było rozebrać, ale od dołu nie. Więc trochę mnie na powitanie przygrzało.

Na lotnisku czekała na nas agencja, która nam organizowała wyprawę. Nieduża, bo wiadomo, koszty, ale jej przedstawiciele odpowiadali na wszystkie pytania, jakie miałyśmy. A ponieważ miałyśmy tych pytań dużo, więc mieli do nas dużo cierpliwości.

Pojechaliśmy do hotelu w Moshi. Standard dwie gwiazdki, ale jak na Afrykę to nie jest źle. Przenocowałyśmy tam i przepakowałyśmy się, ponieważ w planach miałyśmy i wyjazd nad ocean, i safari. Na Kili były ciepłe ubrania włącznie z rękawiczkami i puchowymi kurtkami, bo na górze są minusowe temperatury, a na ocean fajki i pianki do nurkowania. Zostawiłyśmy więc część naszych rzeczy i już przygotowane do wyprawy następnego dnia rano wyruszyłyśmy do parku narodowego.



Wyprawa

– Rano śniadanie. Pierwsze było egzotyczne, drugie było zjadliwe, a trzecie było koszarne. Bo tam w miarę upływu czasu ubywało prowiantu. Skończyły się owoce, chleb był tylko najbardziej dostępny, czyli biały tostowy.

Po śniadaniu cała nasza zwarta, silna, gotowa grupa zameldowała się przy wejściu do parku narodowego. Tu się odbywał rozdział bagaży pomiędzy towarzyszącym nam porterów (bagażowych). Każdy bagaż miał mieć określoną wagę i pilnowano, żeby to było chyba dwadzieścia kilo. W tych worach transportowych mieli nasz bagaż i dorzucali do niego to wszystko, co musieli wnieść na górę. Jedzenie, namioty, krzesła, stoły i wodę, choć tę głównie brali ze źródeł.

Każda z nas miała swoje rzeczy wyprawowe. Nie niosłyśmy ich na własnych plecach, tylko za nas nieśli portrzy. My miałyśmy przy sobie tylko rzeczy podręczne, takie jak woda, ciepła kurtka, jakiś batonik.

Zaczęła się wyprawa. Pierwszy dzień bardzo ciepły. Głównie szło się w dół i po płaskim. Procedura była taka. Portrzy wychodzili przed nami. Szli dużo szybciej i chyba mieli jakieś swoje skróty, bo zawsze znajdowali się w obozie grubo przed nami. Poza tym kilka razy w miesiącu wchodzi na tę górę z bagażem po trzydzieści kilo, więc byli zaprawieni w boju. Gdy docierałyśmy na miejsce, obóz był rozłożony: nasze namioty, messa, w której był już przygotowany posiłek. To było bardzo komfortowe, jak na te warunki.

Szłyśmy przez las tropikalny. Fajne widoczki, małpy w tle, liany. Warunki sanitarne w obozie koszarne. Afrykańska toaleta to jest po prostu dziura w ziemi i już. Z wodą też było trudno, więc w użyciu były głównie mokre chusteczki. Rano portrzy przygotowywali ciepłą wodę do mycia. To był zbiorniczek z kranikiem i można było umyć zęby, ręce...

Potem skończył się las tropikalny i zaczęły się kosodrzewiny, wrzosowiska i droga pod górę. Zrobiłam zdjęcie pierwszego obozu z widokiem na Kilimandżaro.



*...serce biło mi tak,
jakby chciało wyskoczyć*

W szczerym polu między kamieniami były porozbijane namioty, gdzieś toaleta i budka, w której trzeba się po powrocie do obozu meldować, zapisując powrót w odpowiedniej książce. My miałyśmy swoją książkę, a portrzy swoją. Bardzo tego pilnowali.

Dziewczyny były bardzo zgrane. Przez cały pobyt nie było żadnych zgrzytów. Były jakieś trudne sytuacje, ale zawsze ktoś ustąpił, ktoś wyszedł dwa kroki do przodu i towarzysko było świetnie.

Kolejny obóz Shira Camp I był na wysokości 3500 m n.p.m. Ja niestety od początku odstawałam od grupy. Mimo tego, że wybrałyśmy trasę z dłuższą aklimatyzacją, mój organizm nie dostosowywał się tak szybko do wysokości.

Na Kilimandżaro najpopularniejsza jest trasa sześciodniowa, tak zwana trasa Coca Coli – szybko i tanio się wchodzi. My zdecydowałyśmy się na trasę dłuższą, po to, żeby lepiej się aklimatyzować i zwiększyć szanse na wejście.

Moje problemy zaczęły się już powyżej 3000 metrów n.p.m. Szłam swoim tempem, ze swoim przewodnikiem. Dziewczyny szły szybciej. Dochodziłam do obozu średnio pół godziny po nich. Cierpię na taką chorobę

krwi, która powoduje, że mam słabe wyniki i widocznie nie było wystarczającej produkcji czerwonych ciałek. Na nizinach nie mam problemów, ale nie miałam okazji, od czasu kiedy zachorowałam, przetestować się w górach. To był pierwszy test wysokogórski. W naszych górach do wysokości 1800 m n.p.m. nie mam problemów, ale tam z takiej wysokości startowałyśmy.

Powyżej 3000 metrów nasi przewodnicy standardowo mierzą saturację, czyli nasycenie krwi tlenem. Moje wyniki były wprawdzie zawsze dużo poniżej wyników dziewczyn, ale jeszcze do zaakceptowania. Ale na tej wysokości efekt był taki, że serce biło mi tak, jakby chciało wyskoczyć, a każdy krok był dla mnie dużo bardziej obciążający.

Musiałam się zatrzymać, czekać, aż się serce uspokoi. Samo Kilimandżaro nie jest trudne, ale niewiadomą jest, jak organizm zareaguje na wysokość. I tego się obawiałam. Liczyłam tylko, że przygotowanie kondycyjne – dużo biegałam, dużo chodziłam – mnie podciągnie.

W następnym dniu doszłyśmy do obozu Shira II na 3850 m n.p.m. Stąd już było widać śniegi i całą okazałość Kilimandżaro. Góra wydawała się bliska na wyciągnięcie ręki.



„Pole, pole”

– Wymarsz do kolejnego obozu Barranco (3850 m n.p.m.), a po drodze przejście przez Lava Tower – 4500 m n.p.m. Zasada jest taka, że w ciągu dnia wchodzi się wyżej, a na nocleg schodzi niżej. Ja już bardzo odstawałam od grupy. Przewodnicy podjęli decyzję, że nie wchodzi na Lava Tower wytyczoną trasą, tylko idę boczną drogą, do wysokości 4300 m n.p.m. Generalnie czułam się dobrze. Nie było wymiotów, biegunki ani zawrotów głowy, które mogły wystąpić. Tego nie miałam. Tyle tylko, że się bardzo męczyłam.

To było pokonywanie własnych słabości. Dla mnie ta droga była bardzo trudna, bo cały czas pod górę. Tego dnia zrobiliśmy 11 kilometrów. Na tej wysokości to jest dużo. Mimo to w dobrych nastrojach poszliśmy spać.

Rano znowu pomiar saturacji i już miałam tak niskie wyniki, że od razu wystartowali do mnie z tlenem. Decyzja, co robić dalej, należy w zasadzie do przewodników. Oni są doświadczeni i wiedzą, jak to wygląda. Gdy orzekają, że nie masz szans na wejście, to raczej mają rację. Z bólem serca zgodziłam się, tym bardziej że wiedziałam, jaki był poprzedni dzień, a teraz szliśmy jeszcze wyżej.

Saturacja tak mi spadła, że miałam chyba 37, a więc dużo poniżej dopuszczalnego poziomu. Mówię: „nie pójde dalej, bo tylko kłopotów narobię dziewczynom”. Tutaj się rozstałyśmy – w obozie, od którego zaczyna się trudniejsza droga. Może nie wspinaczka, ale wchodzenie po skałach do góry. Dziewczyny zaczęły się wspinać, a ja z przewodnikami zaczęłam schodzić w dolinę.

Jeszcze przez pół dnia się widziałyśmy. Ja widziałam je na ścianie Barranco Wall, a one mnie na drodze, która się wije po krawędzi doliny. Ta podróż w dół wcale nie

...góra wydawała się na wyciągnięcie ręki

była prosta. Brak tlenu w organizmie bardzo mi dokuczał. Gdy się szło w dół, to jeszcze jakoś ta siła grawitacji niosła, ale jak były fragmenty pod górę, to już było bardzo ciężko.

Był przy mnie przewodnik i drugi porter. Kiedy na chwilę przysiadłam, zaraz głowa mi opadała do snu. Od razu słyszałam: „Kate, don't sleep, Kate, don't sleep”. Szliśmy chyba osiem godzin w dół z długimi przystankami. Było to dla mnie bardzo trudne, ale inaczej się nie dało.

Tam nie latają helikoptery. Wprawdzie po trasie są porostawiane nosze, podobne jak u nas mają GOPR-owcy, ale nie chciałam z tego korzystać. I choć pytali się, czy czuję się na tyle dobrze, żeby schodzić, mówiłam, że tak. Najpopularniejsze słówko na Kilimandżaro to „pole, pole”, czyli wolno, wolno. Przewodnicy wiedzą, że na tej wysokości każdy krok jest trudny. Stawia się nogę, chwila zatrzymania i dostawia drugą. Przewodnicy idą pierwsi i nadają rytm.

Szliśmy bardzo powolutku, a oni jeszcze musieli mi po drodze podawać tlen. Nie bałam się. Schodziłam w dół i wiedziałam, że będzie lepiej. Bardzo żałowałam, że mi się nie udało. Niby nie jest takie istotne, czy dojdiesz, czy nie dojdiesz, bo liczy się cała przygoda, ale mimo wszystko jednak miło byłoby stanąć na szczycie.

Okazało się, że nie tym razem, może następnym. Zdrowie jest ważniejsze, życie jest ważniejsze. Chociaż lży się kręciły.

Zeszliśmy do obozu na 2800 m n.p.m. Otrzymałam przygotowane pudełko lunchowe. Chwila odpoczynku i schodzimy dalej w dół przez las tropikalny – jakieś trzy kilometry do przejścia. Było łatwiej, bo niżej, i widać było, że zbliżamy się do końca.

Schodziliśmy jeszcze ze dwie godziny. O godzinie 18.00 zaczyna się zmierzchać i przewodnicy doszli do wniosku, że w tym tempie nie zdążymy dojść do parkowego jepea na czas. A to oznacza, że nie zabierze nas dalej w dół. Wobec tego, gdy tylko droga stała się przejezdna, to znaczy przeszła w wąziutką ścieżkę, ale bez stopni i skał, zapakowali mnie do jednokołowego wózka, które były co jakiś czas rozstawione przy drodze. Pojawiło się jeszcze trzech porterów i zaczęli mnie tym wózkiem zwozić.

To, że droga była bez stopni, nie znaczy, że była gładka, a oni z tym wózkiem po prostu biegli. Nie da się inaczej. Ja swoje waży, a wózek jedzie cały czas w dół. Porterzy biegli koło wózka i tylko patrzyli, żeby nie wypadł z trasy i żeby na ostrzejszych zakrętach go mocniej hamować. Taka podróż trwała około czterdziestu minut. Ciekło po nich równo, gdy dotarliśmy na dół. Tam



...to już nie była przyjemność tylko walka o życie

podjechał już parkowy jeep. Jeszcze kilkadziesiąt minut zwoził mnie do granic parku, gdzie czekał boss naszej agencji – Paulo, który zawiózł mnie do hotelu.

Wejście na szczyt

– Do miejsca, w którym zdecydowaliśmy, że wracam, droga trwała cztery dni. Powrót tylko dzień. Jak później prześledziłam tę trasę, to jakieś trzydzieści kilometrów po zboczach Kilimandżaro przedpełtałam. Doszłam do wysokości 4300 m n.p.m. i po moim odwróceniu w zasadzie najprzyjemniejsza część wyprawy się skończyła. Potem było już zdecydowanie trudniej.

Tego dnia, kiedy ja schodziłam, dziewczyny dotarły do obozu Karanga. Kolejny dzień i droga do mało używanego obozu Kosovo. Z Karangi, gdy wychodziły rano, niebo już było zachmurzone. Zaczęło padać i kolejny dzień był drogą w deszczu. Do przyjemnych nie należał. Wszystko było mokre.

Do Kosova (4863 m n.p.m.) dotarły późnym popołudniem. Zjadły przygotowany posiłek i poszły spać. O 22.00 była już pobudka na atak szczytowy. Gdy wyszły z namiotów, okazało się, że obóz jest przysypany śniegiem. Temperatura spadła, sypało igiełkami lodu i wiał taki wiatr, że pozwiewało część namiotów załogi. Droga na szczyt to już nie była przyjemność, tylko walka o życie. Dziewczyny opowiadały o niej tak:

„Nic nie widzisz. Idziesz przy czołówkach. Nie wiesz gdzie. Wierysz przewodnikom, że oni wiedzą którąś, bo wszystko jest zasypane śniegiem. Przemoczona odzież zaczyna nabierać takiej sztywności, że robi się jedna skrupa. Kijki na szczycie są grubości ręki, tak są oblodzone”.

Wychodziły z obozu w trzech grupach. Pierwsza, trochę słabsza kondycyjnie, wyszła o 23.00, druga o 24.00, a kolejna o 1.00 w nocy. Tak wymierzyły, że praktycznie spotkały się na szczycie. Wszystkie doszły, wszystkim się udało, ale mówią, że było bardzo trudno. Każdy krok to wysiłek ze względu na wysokość i warunki, ale się udało. Za to widoków zero.

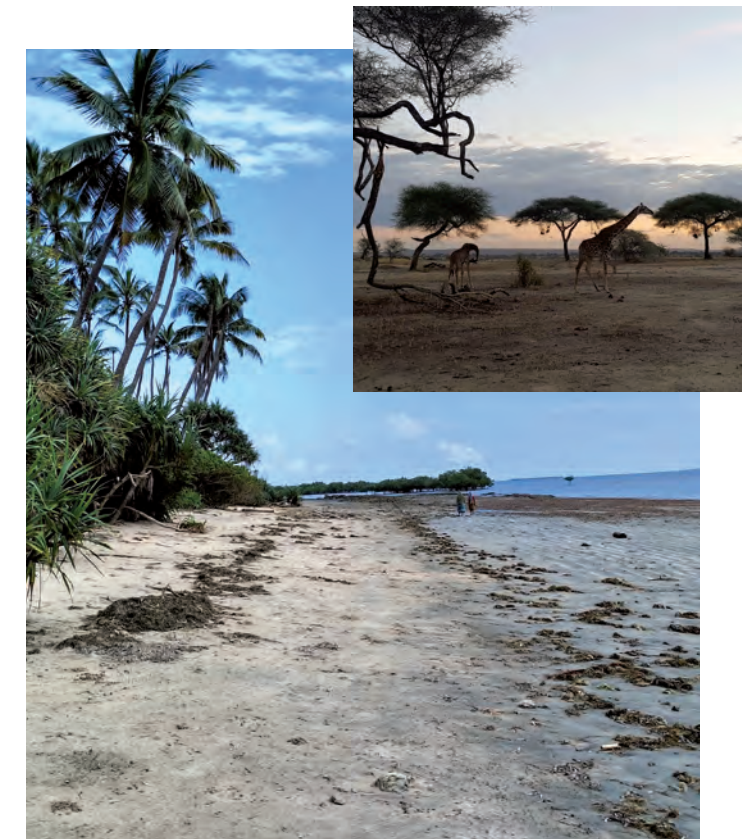
Szczyt Kilimandżaro to miejsce, gdzie wszyscy robią sobie zdjęcia, często w krótkich rękawkach, uśmiechnięci, a one opatulone, przemoczone, zakapturzone i oszro-



nione. Nawet trudno było zrobić zdjęcia, bo co przetarły obiektyw, to momentalnie był zakryty śniegiem.

Tereska, наша najstarsza uczestniczka, też dotarła na szczyt. Miała własnego przewodnika, który z nią cały czas szedł. Niósł za nią plecak, nawet ten podręczny, pomagał na trudniejszych odcinkach. Bardzo się nią opiekował.

Tak się zakończyła moja wyprawa na Kilimandżaro. Została mi jeszcze część wypoczynkowa, bo cały wyjazd był zaplanowany na siedemnaście dni. Dziewczyny zawsze tak planują, że po zdobyciu szczytu świętują, zwiedzają kraj, chcą go trochę dotknąć. One się wspinały, a ja już wróciłam do hotelu, w którym czekałam na nie dwa dni, zwiedzając miasto. Oglądając z bliska to, czego nie było widać z góry. Potem razem odpoczywałyśmy nad Oceanem Indyjskim i na safari, ale to opowieść na inne spotkanie.. ■



Słuchamy walca z płyty Iwony Manisty-Kutryś, mieszkanki naszej gminy. Kompozytorki, wokalistki, aktorki i pedagoga w zespole szkół publicznych w Mysiadle. Płytę pod tytułem „Godzina jeszcze młoda” otwiera nastrojowy Taniec.

*Wtuleni w siebie, objęci gwarem, kiedy orkiestra taniec zaczyna.
Spleceni dźwiękiem w magiczną parę, drżą jak listowie dzikiego wina.
Czas się zatrzymał, mgła ich owiała, cichej muzyki mgietka się snuje.
Struna wzruszenia w sercu zadrżała, bo on jej włosy skrycie catuje...*

Widzicie tę parę? Słowa piosenki napisała inna mieszkanka naszej gminy, Ewa Jowik.



fot. z archiwum prywatnego Ewy Jowik

tam pracę i służbowe mieszkanie. Dzieciństwo spędzałam na ogrodzonym drutem kolczastym terenie przyległym do radiostacji. Tam zbieraliśmy grzyby. Wiedzieliśmy, pod którym dębem rosną prawdziwki, gdzie są jeżyny, znaliśmy każdy zagajnik i każdy krzaczek. Cały teren był nasz i nasza była radiostacja. Mieszkam tam, w budynku postawionym dla wojska budującego maszt i budynek radiostacji. Miała to być chwilowa prowizorka, ale jak to zwykle bywa z prowizorkami, stoi do dziś i ja w niej mieszkam.

Po szkole podstawowej w Łazach poszłam do technikum kolejowego, które było na ulicy Szczęśliwickiej w Warszawie. Nie wybrałam technikum z miłości do kolei. Przyczyna była całkiem prozaiczna. Technikum kolejowe dawało umundurowanie, stypendium i zapewniało bezpłatne obiady, a w moich warunkach były to wartości nie do przecenienia.

Pamiętam ten dzień, kiedy pierwszy raz założyłam mundur. To było ogromne przeżycie. Mundur mi się podobał i ja sobie w mundurze też. Zresztą zawsze lubiłam mundury. Ten mój mundur sprawiał, że nie czułam się inna, bo w szkole podstawowej było inaczej. Tam czułam się inna i byłam przez rówieśników tak traktowana. Uczylałam się dobrze, ale moi rodzice byli biedni i starsi niż rodzice moich rówieśników. Może dlatego byłam jak brzydkie kaczątko odsuwana od wszystkiego. To był trudny okres i ciężko mi go wspominać.

Za to cztery lata w technikum kolejowym wspominałam z wielkim sentymentem. Byłam taka jak wszyscy, a poza tym czułam się lubiana. To była naprawdę wspaniała szkoła. Był w nim zespół taneczny, chór i szkolna orkiestra. Uczniowie, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie o instrumentach muzycznych, mogli się w czasie tych czterech lat nauki, chodząc na zajęcia pozalekcyjne, nieźle nauczyć grać. Wystarczyły chęci.

Jeździliśmy na muzyczne obozy, przygotowaliśmy pogromy artystyczne na cały rok. Byłam solistką w szkolnym zespole. Śpiewałam. Mogłam z tego powodu nawet czuć się lepsza. Wyróżniona.

To były cudowne czasy. W technikum poznałam Stefana, mojego przyszłego męża. Chodziliśmy do jednej klasy, a pod koniec szkoły siedzieliśmy nawet w jednej ławce.

Skończyłam technikum w 1972 roku i zostałam dyżurnym ruchu na stacji kolejki wąskotorowej w Piasecznie. Miałam lizaka w rękę i odprowadzałam pociągi. Odpowiadałam za prowadzenie ruchu na stacji i przyległych szlakach.

Przez kilka lat po skończeniu technikum śpiewałam w żeńskim kwartecie ALE, który powstał w piaseczyńskim domu kultury. Jeździliśmy po Polsce na różnego rodzaju koncerty i festiwale, w tym na festiwale w Zielonej Górze. Byliśmy też na występach w ZSRR.

Na stacji kolejki wąskotorowej w Piasecznie pracowałam kilka lat, do urodzenia pierwszej córki – Aleksandry.



Potem urodziła się Agnieszka, potem trzecia córka – Katarzyna. Do pracy już nie wróciłam. Zaczął się całkiem inny, prozaiczny etap w moim życiu. Wychowywanie dzieci.

Długo, długo nie byłam aktywna zawodowo. Wreszcie podjęłam pracę w szkole w Lesznowoli i w administracji pracowałam aż do emerytury. Potem zaczęłam się martwić, co ja będę na tej emeryturze robiła. Czym ja ten czas wypełnię? To było straszne. Nie miałam pomysłu. Dziś mogę powiedzieć, że pomysł podpowiedziało mi życie.

Zawsze lubiłam rozwiązywać krzyżówki i kupowałam „Rewię rozrywki”. Tam były do rozwiązania anagramy, czyli taka zabawa z przestawianiem wyrazów, wyrażen lub zdań powstałych przez przestawienie liter. Były też homonimy, czyli wyrazy tak samo brzmiące, o identycznym zapisie, ale mające zupełnie odmienne znaczenie. Były też szarady, czyli zagadki podawane w formie wiersza, w którym w różny sposób zostało zaszyfrowane jakieś zdanie lub wyraz.

Pomyślałam, że mogłabym też takie zabawy wymyślać. Wpadło mi do głowy kilka pomysłów, wysłałam je do redakcji i... przyjęli. Zachęcona wysłałam kolejne. I tak od dziesięciu lat w to się bawię.



Przeglądamy dyplomy, które Ewa Jowik kolekcjonuje. Są to dyplomy za zajęcie pierwszego miejsca w turniejach poetyckich organizowanych przez Stowarzyszenie Autorów Polskich, nagrody zdobyte w turniejach literackich, ale też pierwsza nagroda w Ogólnopolskim Biennale Satyry im. Stanisława Jerzego Leca, nagroda w XLV Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Pocka, nagroda zdobyta w Ogólnopolskim Turnieju Satyry im. Ignacego Krasickiego *O Złotą Szpilę* i dyplom za drugie miejsce w konkursie literackim na opowiadanie bożonarodzeniowe. Ostatnia Złota Szpila trafiła do pani Ewy w listopadzie tego roku. Jest w kolekcji nagród i dyplomów także tegoroczny dyplom SAP za aktywny udział w promowaniu „Poetyckiej Inteligencji Polskiej na arenie światowej; za formowanie wartości Wielkiej Polskiej Kultury na fundamencie Ogólnopolskiego Dziedzictwa Narodowego oraz Kresów Wschodnich... Wilna i Wileńszczyzny...”.

Wszystkich nagród i dyplomów nie wymieniamy, bo jest ich wiele, choć Ewa Jowik zajmuje się twórczością literacką zaledwie od dziesięciu lat.

Diżurna ruchu

– Nie, nie jestem humanistką – mówi Ewa Jowik. – Nie byłam na polonistyce. Urodziłam się w Marysinie. Tata miał sześćdziesiąt jeden lat i zbliżał się do emerytury. Mama czterdzieści dwa lata. Nie byli to ludzie bogaci. Całe życie mieszkam na terenie naszej gminy. Najpierw w Marysinie.

Kiedy miałam trzy latka, rodzice przeprowadzili się na teren radiostacji raszyńskiej w Łazach. Tata dostał



Opowiem ci bajkę

– Do naszego domu wprowadziła się na jakiś czas moja córka z mężem i małym synkiem. Sprzedali swoją kawalerkę, bo chcieli kupić większe mieszkanie i odpowiedniego nie mogli znaleźć.

Zaczęłam spełniać rolę babci, która odprowadza i przyprowadza wnuczka z przedszkola i czasem czyta mu książeczki dla dzieci. Poziomem tych książeczek byłam załamana. Teksty, które towarzyszyły ilustracjom, były fatalne. Ani rymu, ani rytmu. Dziecka nie mogły zainteresować, a dorosłego, który je czytał, odrzucały.

Bardzo mnie to irytowało. Doszłam do wniosku, że ja bym lepiej napisała. I napisałam. Był to wiersz-bajeczka. Córka przeczytała i powiedziała: „Mamo, to jest świetne”. Był to wierszyk o zabawkach, które się zbuntowały, bo dziecko je psuło, i postanowiły wyprowadzić się z domu. Jedna z nich, bardziej rozsądna, powiedziała, że nie ma sensu się wyprowadzać. Lepiej udać się o pomoc do taty, który wszystko naprawi, a dziecko zabawkami będzie się z wiekiem lepiej opiekowało.

Pisanie bajek dla dzieci zaczęło się dziesięć lat temu.

*Dawno temu, w małym kraju,
koło krzaczka niezabudki,
pod łopianem, przy ruczaju,
żyły małe krasnoludki.*

*Owe skrzaty przez dzień cały,
(tak to jest u krasnoludków);
bardzo wolno pracowały,
i chodziły powolutku...*

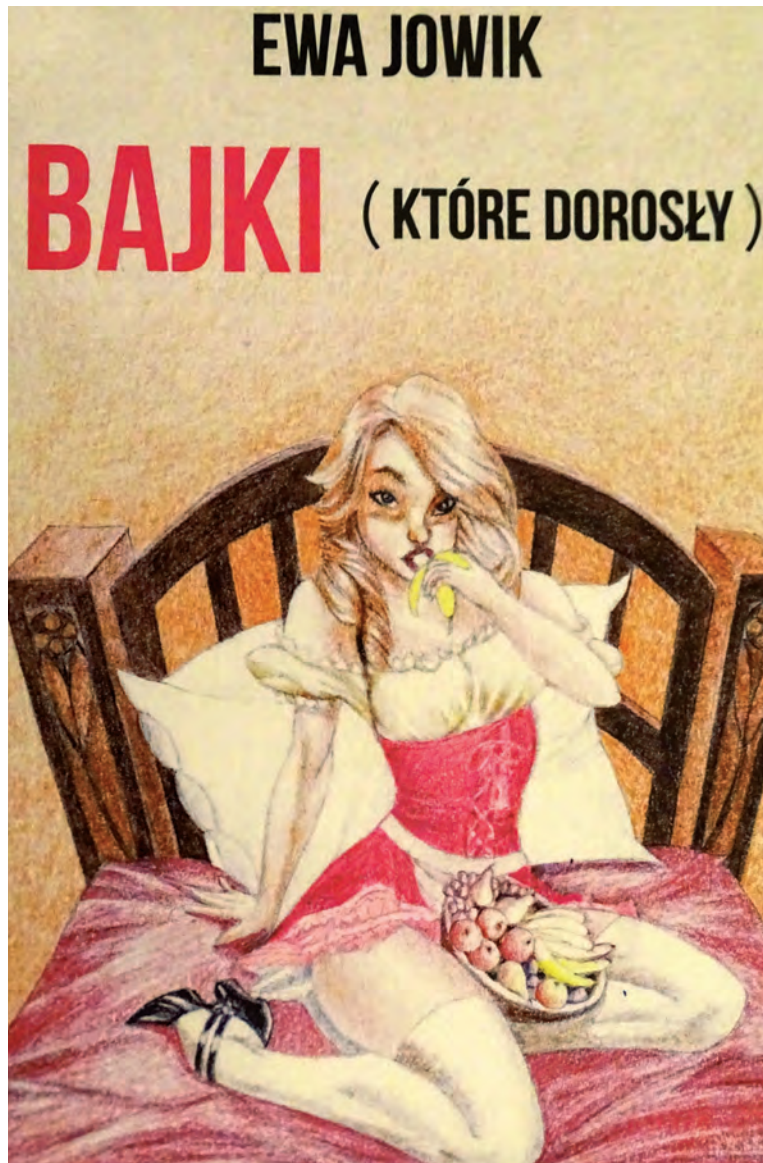
(Fragment Bajki o krasnoludku Ludku)

Potem przyszedł czas na wierszyki i bajki dla dorosłych, a ściślej rzecz biorąc *Bajki (które dorosły)*. Takie jak na przykład *Bajka o Kopciuszu*.

*Za górami, za lasami, przed wieloma laty,
przywłókl babę wraz z córkami, wdowiec,
do swej chaty.*

*Po co? Ano głupi pomysł strzelił mu do głowy,
aby los swój, (ch... wie po co), złączyć z losem wdowy.
Miał on swoją własną córkę. Miłą cud dziewczuszkę,
która miała (wstyd powiedzieć) niezbyt małą nóżkę.
A że wdowa się po ślubie stała nieużyta,
to biedaczek dosyć szybki wyciągnął kopyta...*

Potem przyszedł czas na wiersze. Za chwilę ukaże się siódmy ich tomik, bo drukarnia zakończyła druk. Bardzo się cieszę z tego pisania, bo to jest teraz moje życie, moje zainteresowania i dodatek do emerytury.



EWA JOWIK

BAJKI (KTÓRE DOROSŁY)



Wiersze

– Pierwszy tomik wierszy został wydany przez naszą gminną bibliotekę w 2009 roku i miał tytuł *Zegar*. Otwierał go wiersz, w którym zawarłam pytania i wątpliwości, jakie miałam na starcie mojej twórczości.

Ja, „poetka” – wierszokletka, wkładam wiersze do szufladki.

Może jakiś im wydawca doda tytuł i okładki?

Może jakiś im rysownik doda kilka ilustracji?

Może dziadkom ktoś przeczyta w domu starców przy kolacji?...

W 2010 roku wydałam tomik *Wiersze gotowe do użycia*. Jest w tym tomiku wiersz, który zatytułowałam *Zamiast pacierza*.

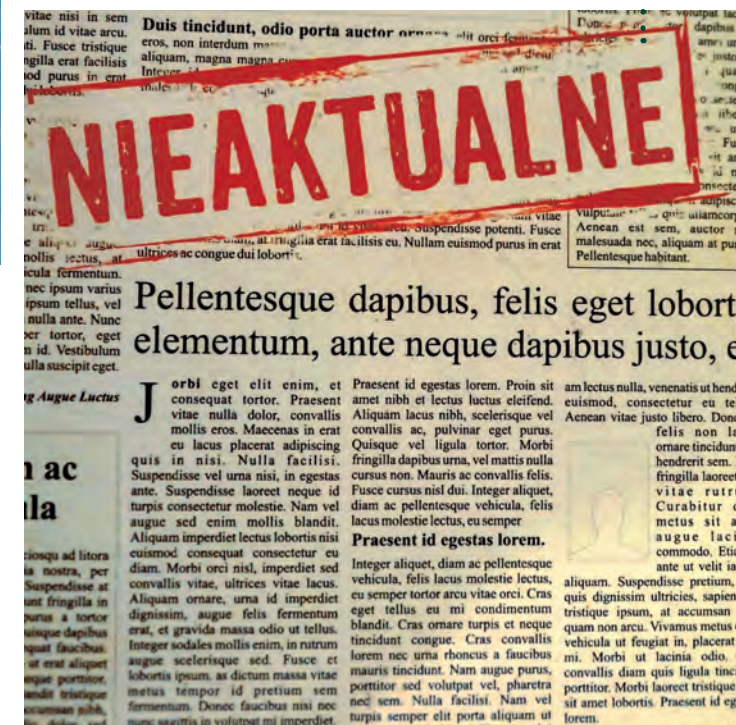
*Za słońca promień i mróz na dworze,
za dni gdy chłodno, ciepło lub parno,
za to, że każdy podziwiać może,
to co nam dajesz co dnia za darmo,
za jezior głębię, za góry, morze,
za wiatr co czasem smutno się żali,
chylę przed Tobą czoło w pokorze,
bo słów mi braknie, by Ciebie chwalić.*

*Za falujące na polu zboże,
za śnieg, co długo tej wiosny leżał,
dziś Ci dziękuję tym wierszem Boże,
więc go posłuchaj zamiast pacierza.*

Pierwsze tomiki nie są moim zdaniem zbyt udane i nie za bardzo jest się czym chwalić. Potem było coraz lepiej. Ukazały się tomiki *Tytuł ukradł mi Vivaldi*, a w nim cykl wierszy na cztery pory roku. Tomik *...tylko mi w prezencie przynieś lekkie pióro*, a w nim między innym nagrodzony drugą nagrodą w Turnieju Jednego Wiersza utwór *Rzeźba*.

*Byłam niczym drzewo, które
wiatr obalił w noc grudniową
opłakane ptasim chórem,
zapomniane i zmurszałe.
Ty słowami niczym dłutem
wyrzeźbiłeś mnie na nowo
odrzuciłeś trocin smutek,
oraz wiórów garstkę małą...*

moja Lesznowola



Pellentesque dapibus, felis eget lobortis elementum, ante neque dapibus justo, e...

Jorbi eget elit enim, et consequat tortor. Praesent vitae nulla dolor, convallis mollis eros. Maecenas in erat eu lacus placerat adipiscing quis in nisi. Nulla facilisi. Suspendisse vel urna nisi, in egestas ante. Suspendisse laoreet neque id turpis consectetur molestie. Nam vel augue sit enim mollis blandit. Aliquam imperdiet lectus lobortis nisi euismod consequat consectetur eu diam. Morbi orci nisi, imperdiet sed convallis vitae, ultrices vitae lacus. Aliquam ornare, urna id imperdiet dignissim, augue felis fermentum erat, et gravida massa odio ut tellus. Integer sodales mollis enim, in rutrum augue scelerisque sed. Fusce et lobortis ipsum, ac dictum massa vitae metus tempor id pretium sem fermentum. Donec faucibus nisi nec nunc sagittis in volutpat mi imperdiet.

Rok później ukazał się tomik *Nieaktualne*, które opatrzone takim komentarzem: „Gdy się już tak zdarzy, że opuści ktoś na czas jakiś nasz kraj nadwiślańsko-odrzański, a po powrocie będzie mu trudno wejść w rytm życia rodaków, nadrabiać nieaktualne niby, a w istocie – wciąż aktualne niedawności, niech sięgnie po tomik wierszy Ewy Jowik. To taka żartobliwa, rymowana kroniczka ostatnich wydarzeń”.

*Taki zwyczaj teraz w politycznych kręgach,
że po jakiś modny gadżet każdy sięga,
krawat w pasy, mucha, bluzka cała w groszkach,
a ostatnio jest na topie w klapie broszka... (Broszka)*

Na początku mijającego roku spotkała mnie bardzo przyjemna niespodzianka. Rozstrzygnięto odbywający się w maju 2016 roku konkurs *36 Wągliński Maj Poezji*. Otrzymałam w kategorii „Poezji rymowanej” drugą nagrodę. Najprzyjemniejszy był jednak komunikat jury tego konkursu.

„Po analizie 2100 wierszy – 357 poetów z 18 krajów” jury przyznało w dwóch całkowicie odrębnych kategoriach – „Poezji rymowanej” i „Poezji białej” – szesnaście nagród i wyróżnień. I właśnie w tej pierwszej kategorii nagroda należała do mnie.

Proszę mi wierzyć, że czułam ogromną radość, bo to nie był konkurs kilku autorów.

Wiersz dla męża

– Często różni znajomi proszą mnie, bym o kimś lub dla kogoś na jakąś okoliczność napisała wiersz. Pewnego dnia zwrócił się do mnie mąż: „Słuchaj, piszesz dla



Ewa Jowik

"...tylko mi
w prezencji
przynieś
lekkie pióro"



wszystkich. Czy mogłabyś raz napisać wiersz dla mnie? Chciałbym, abyś napisała wiersz o mojej rodzinnej wsi. O miejscu mojego urodzenia i dzieciństwa. – Proszę bardzo – odpowiedziałam”. – To jest wieś Kąty pod Terespołem. Mała wioseczka, w której wałęsali się stare, opuszczone domy i niewielu świadków dzieciństwa mojego męża jeszcze żyje. Dopóki żyli rodzice męża, bardzo często tam jeździliśmy. Byłam z tym miejscem bardzo emocjonalnie związana.

Długo myślałam, jak ten wiersz napisać, i nic mi do głowy nie przychodziło. Pamiętam, był taki dzień przed świętami Bożego Narodzenia, że jechałam do pracy i przez całą drogę prześladowała mnie kolęda *Maleńka cicha, stajenka licha*... Są takie dni, kiedy jakaś piosenka, pieśń, melodia przyczepi się do człowieka i nie chce odejść.

Słyszałam w sobie tę kolędę i nagle zobaczyłam wieś Kąty. Wieś mojego męża. Wieś dwuwyznaniową, gdzie obok siebie żyją katolicy i prawosławni. Gdzie jest maleńka cerkiewka, kościółek niedaleko i stary jesion na podwórku moich nieżyjących już teściów. Gdzie ludzie obchodzą Boże Narodzenie w różnych terminach, gdzie jest mały wiejski cmentarz, na którym mój mąż chce być pochowany. Wszystko to starałam się w wierszu pomieścić.

Nuciłam kolędę i nagle słowa wiersza zaczęły się układać w głowie i poszło. Napisałam dla męża wiersz *Nadbużańska wieś*.

*Maleńka, licha wiosieczka cicha,
wśród lasów przycupnięta.
Tam lata chłodne, wiosny łagodne,
zwykle podwójne święta.
Tam wierzba krzywa, jesień słotliwa
i bardziej mroźna zima,
sklep niebogaty, drewniane chaty,
jakby się czas zatrzymał...*

Wysłałam mężowi pocztą elektroniczną do pracy ten wiersz, zobaczyłam, że pocztę odebrał, i czekałam, co powie. Czekałam i czekałam. Żadnej reakcji. Cisza. Nie wytrzymałam. Złapałam za telefon i mówię: „No, powiedz coś. – A mąż na to – Pisz tak dalej, to wszyscy z płaczu poumierają”. Tak bardzo się wzruszył, czytając mój wiersz o jego wsi.

Ale ja nie piszę smutnych wierszy. Smutne wiersze się zdarzają. Wolę pisać wiersze wesole, bo taka jestem z natury. Na święta mam wiersz *Wigilia*. Nie bierzcie go, proszę, na serio.

*Wbrew rozsządkowi i ekologom,
chwyciłam dzisiaj karpia za ogon.
Potem z zacięciem nie byle jakim
potraktowałam rybę tasakiem.
Na nic protesty, na nic policja.
Zawsze zwycięża polska tradycja.
Czym front bez broni i bez żołnierza
tym jest bez karpia polska wieczerza.
Co tam prezenty i radość dzieciak,
co tam życzenia oraz opłatek!
Co tam choinka. Wszak wszyscy wiecie,
że najważniejszy karp w galarecie.
Teraz się czuję jak lotr bez serca.
Niczym zbrodniarka. Niczym morderca.
Ten traumatyczny dół, moi mili
potrwa do przyszłej pewnie Wigilii...
Wiec zdołowana dzisiaj szalenie
upraszam karpie o przebaczenie!*

Ewa Jowik ma w swoim dorobku setki opublikowanych wierszy. Właśnie wyszedł najnowszy, zawierający blisko dziewięćdziesiąt pozycji tomik pod tytułem *Lubię to*. Nie skończymy jednak tekstu o pani Ewie wierszem z tego wydawnictwa, lecz fragmentem zabawnej *Legenda o Lesznowoli* z tomiku *Bajki (które dorosły)*. Lesznowola ma, jak wiadomo, w herbie pannę trzymającą w dłoniach kłosa zboża i kadyceusz oraz zielonego smoka.

*Na mazowieckiej pięknej równinie,
która wokoło od wieków słynie,
w niewielkiej wiosce, w lesie wysokim,
żył smok okrutny, zielonooki.
Siał wielki postrach na okolicę,
bo na kolację zjadał dziewice.
Dla zmiany diety jadł na śniadanie
jakąś dziewczeczkę w bezzębnym stanie.
Choć chłopci ze wsi, wnerwieni deczko
chcieli go karmić kózką, owieczką,
proponowali mu mamałygę,
sernik, salatkę lub z makiem figę
to odchodzili, niestety, z kwitkiem,
bo miał gad podły nawyki brzydkie... ■*



Rok temu podczas otwarcia lodowiska w Lesznowoli padał deszcz. Na płycie stała woda i miłośnicy jazdy na łyżwach musieli poczekać, aż pogoda się uspokoi. W tym roku z tamtych doświadczeń wyciągnięto wnioski. Deszcz nie pokrzyżuje już niczych planów. Nad lodowiskiem rozpostarto solidny dach.



Tu prowadzą pingwiny



Choć pingwiny w większości zamieszkują zimne morza półkuli południowej i do Lesznowoli im daleko, pojawiły się na tafli lodowiska. Wprawdzie wraz z pingwinami przybył też prosto z Chin miś panda, ale on też nieźle radzi sobie na lodzie. Najmłodszy mogą więc śmiało chwycić miśka za uszy i razem z nim stawiać pierwsze niezdarne kroki na śliskiej powierzchni. Takiej możliwości skrycie zazdroszczą im niektórzy dorośli, którym pozostaje zaprzyjaźnić się z bandą okalającą lodowisko i krok po kroku prze-

mierzać obwód ślizgawki. Podobno jazdy na łyżwach się nie zapomina, więc ci, którzy w ubiegłym roku dzielnie ćwiczyli, teraz sprawnie kręcą piruety.

Ciepłe kombinezony, kaski na głowach najmłodszych i ochraniacze na kolanach u przezornych. W takim ekwipunku żadna temperatura nie jest straszna. Ponieważ sport to zdrowie a zimowe igrzyska olimpijskie już w lutym, nie ma lepszej motywacji, by odnaleźć w sobie sportowego ducha. Kto wie, może i tu wykluje się jakiś przyszły talent.

Lodowisko w Lesznowoli czynne jest codziennie. Każdy może wypożyczyć łyżwy i spróbować swoich możliwości. Wywrotki nikogo nie dziwią i tylko nielicznych zniechęcają. Z obserwacji wiemy, że jeśli jakiś dorosły razem z dzieckiem stawia pierwsze kroki, to robi to najczęściej zgodnie z zasadą „dziadek za rządkę”. Dziecko chwytając pingwina, rodzic trzyma się dziecka i w takiej konfiguracji w trójkę ruszają podbijając białą taflę. Pingwiny twierdzą, że poprowadzą nawet tych wyjątkowo opornych. ■

– Zaparkowałem samochód na parkingu. Podeszła do mnie Cyganka i koniecznie chciała mi powróżyc. Nie miałem ochoty, ale wyjąłem z kieszeni dwa złote i jej dałem. Złapała mnie za rękę, popatrzyła na dłoń i powróżyla: „Będiesz żył jeszcze osiem lat”. Opowiedziałem o tym zdarzeniu koledze. „Trzeba było dać dychę, to by powróżyla, że pożyjesz piętnaście” – powiedział.



...nadszarpnięty
zębem czasu album
ze zdjęciami



Palec boży

Pan Mariusz Zakrzewski ma osiemdziesiąt cztery lata. Urodził się 4 sierpnia 1933 roku u dziadka w Pułtusku, gdzie jego rodzice spędzali wakacje. Oboje byli nauczycielami. Mama uczyła historii i łaciny, a ojciec fizyki i matematyki w liceum w Białymstoku. Na wakacje jeździli do rodziców i brata ojca. I w te wakacje urodził im się syn. Po dwóch tygodniach został ochrzczony w kościele Świętego Krzyża i państwo Zakrzewscy wrócili z niemowlakiem do rodzinnego domu w Białymstoku.

– Gdy wybuchła druga wojna światowa, miałem zaledwie sześć lat. Zaczęłam naukę w szkole podstawowej. Chodziłem tam może tydzień, gdy do Białegostoku wkroczyli Niemcy. Jak szybko wkroczyli, tak szybko się wycofali. Jedno, co po nich pamiętam i dobrze wspominać do dziś, to smak zupy śliwkowej z suszonych śliwek, z makaronem i śmietaną. Wprawdzie w mieście był głód, ale na naszym podwórku stała niemiecka kuchnia. Szef tej kuchni, były restaurator z Wiednia, czasem dzieciakom dawał coś do jedzenia. Gotowali w dwudziestolitrowych baniakach hermetycznie zamykanych zupy i wozili je na front, który był jakieś trzy, cztery kilometry dalej.

Jednego razu nagotowali śliwkowej zupy, zawieźli do swojej jednostki, ale już nie mogli dojechać, bo Rosjanie jednostkę otoczyli. Zupa w termosach wróciła do kuchni. Jeden z takich termosów dostaliśmy w prezencie. Smak tej zupy pamiętam do dziś.

Po Niemcach do Białegostoku weszli towarzysze radzieccy – wspomina pan Mariusz.

To był szok

– Ojciec jako oficer rezerwy poszedł na wojnę. Był dowódcą plutonu łączności. Do Grodna pojechał własnym motocyklem z koszem marki Sokół i żeby motocykl nie dostał się w ręce Niemców ani Ruskich, zrzucił go z mostu nad Niemnem.

Gdy wrócił, przyszli po niego towarzysze z NKWD. Młodzi nie wie, co to było NKWD, więc wyjaśnię, że to był centralny organ władz bezpieczeństwa w sowieckiej Rosji, czyli ichnia безпеaka. Narodnyj komissariat wnutriennich dzieł, a po naszymu Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Zabrali ojca i wylądował w Katyniu.

W mieście pod sowiecką okupacją zostałem z matką sam. Celowo podkreślam pod okupacją sowiecką, bo to nie było wyzwolenie, tylko okupacja. W lutym dostaliśmy kartkę od ojca, który znalazł się w Kozielsku i już wiedział, co się dzieje. Kartka była ze stemplem cenzury i zawierała krótkie zdanie adresowane do mamy. „Odwiedź dziadka Hipolita” – napisał ojciec.

Dziadek Hipolit mieszkał w Pułtusku, czyli w Generalnej Guberni. Mama przeczytała kartkę i bez zwłoki przystąpiła do działania. Załatwiła furmankę, zapakowała walizeczkę, wzięła mnie za rękę i o godzinie dwudziestej trzeciej opuściliśmy nasze mieszkanie w domu na ulicy Parkowej w Białymstoku. Przez zieloną granicę dotarliśmy na dworzec do Małkini. Pociągiem pojechaliśmy z mamą do wujostwa w Warszawie,



fot. z archiwum prywatnego Mariusza Zakrzewskiego

a potem, tak jak kazał ojciec, do dziadka Hipolita w Pułtusku.

O czwartej rano pod dom na Parkowej podjechała tak zwana suka i załadowano do niej tych, co zostali. Z Kazachstanu do Polski wrócili dopiero w 1947 roku.

Przez całą wojnę pomieszkivaliśmy u rodziny w Warszawie. Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, mieszkaliśmy u ciotki na Starym Mieście. 13 sierpnia 1944 byłem bardzo blisko, gdy na ulicy Jana Kilińskiego wybuchł zdobyty przez powstańców niemiecki „czołg-pułapka”.

Zginęło wtedy ponad trzystu powstańców i cywilów, którzy zbiegli się podziwiać zdobyty czołg. Potem okazało się, że to nie był „czołg-pułapka”, lecz ciężki transporter ładunków, które miały zniszczyć barykadę na Podwalu, a jego wybuch był dziełem przypadku. Ludzie mówili, że Niemcy specjalnie pozwolili powstańcom wprowadzić niebezpieczny pojazd w głąb Starówki.

Trzy dni później, 16 sierpnia, weszliśmy z mamą i innymi kobietami z dziećmi na skrzyżowaniu Długiej i Placu Krasińskich włazem do kanału. Była to nasza droga ze Starówki przez wodę do wolności. Wyszliśmy przy ulicy Ordynackiej.

Przyznam, że nic z tego marszu kanałami nie pamiętam. To był dla mnie taki szok i strach, że nic poza

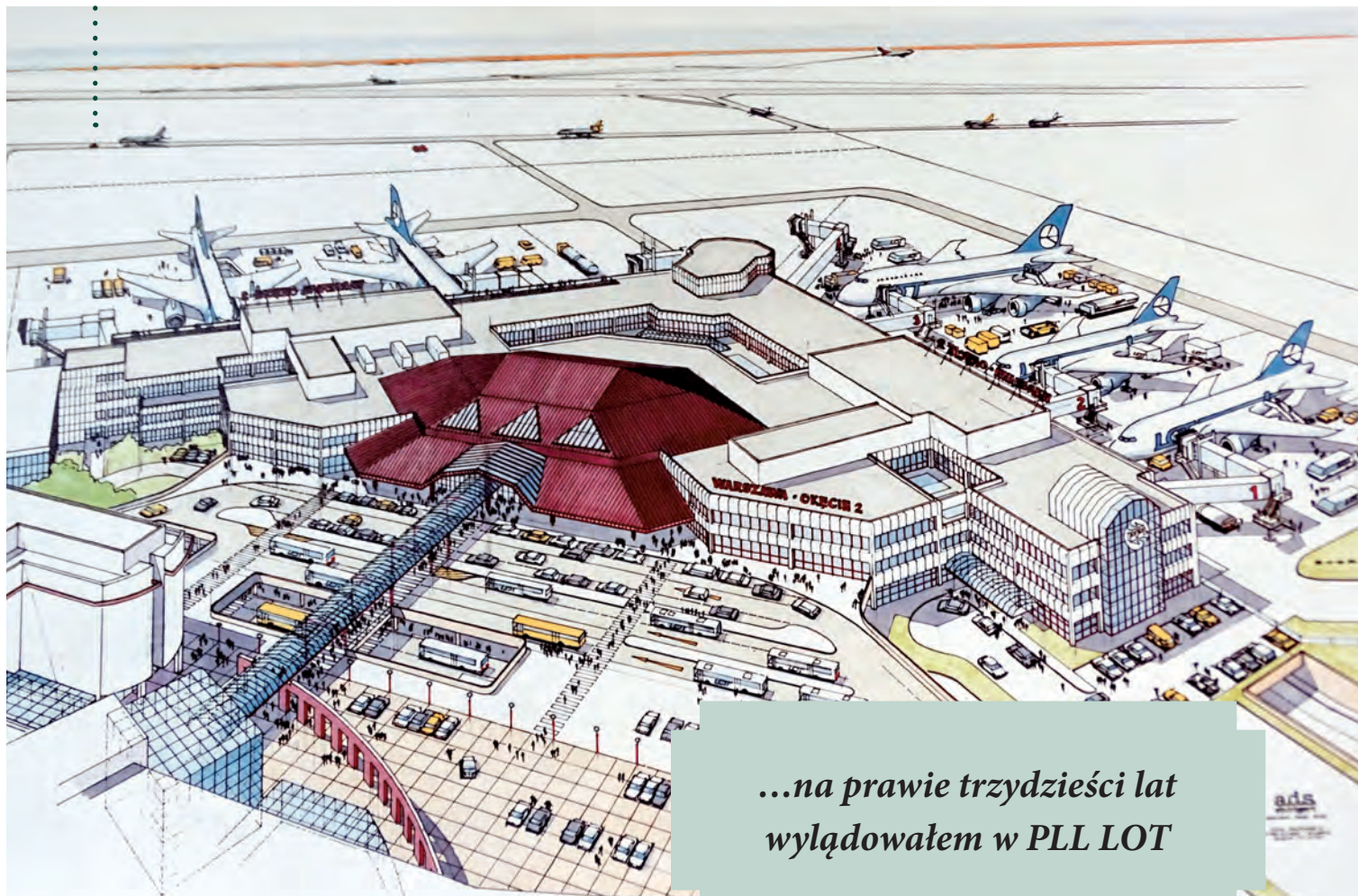
emocjami nie zapamiętałem. Dopiero po wojnie wujek mi ten właz pokazał.

Dzięki ciotkom udało nam się wyjechać z Warszawy. Jechaliśmy z wujkiem, mamą bratem, pociągiem, który zatrzymał się w lesie pod Sierpcem. W pociągu były kobiety, dzieci i dwóch żandarmów.

Wujek wyskoczył, rozejrzał się, zobaczył, że las jest o krok, i wyciągnął nas z pociągu. Przycupnęliśmy w krzakach i czekaliśmy, aż pociąg ruszy. Gdy odjechał, poszliśmy do najbliższej wsi. To była wieś Kiniki pod Raciążem. Schronienie znaleźliśmy u państwa Wiskowskich. Nazwisko pamiętam do dziś, bo ja jestem w tym wieku, że doskonale pamiętam, co było wtedy, a znacznie gorzej, co było wczoraj na obiad (*śmiech*). Tam doczekaliśmy do wyzwolenia, do stycznia 1945 roku.

Ojciec z Katynia nie wrócił. Tak jak wielu innych został zamordowany. W Kościele Świętego Krzyża w Pułtusku wśród nazwisk szesnastu mieszkańców, którzy zostali zamordowani w Katyniu, wisi również tabliczka z jego nazwiskiem.

Jedyną pamiątką jaką mam po ojcu, jest mały, nadszarpnięty zębem czasu album ze zdjęciami i dedykacją napisaną ręką ojca. „Synowi memu w drugą rocznicę Jego urodzin. Ojciec. 4.VIII.1935 r.”.



*...na prawie trzydzieści lat
wylądowałem w PLL LOT*



Po wyzwoleniu mama wróciła do rodziny ojca w Pułtusku. Zaczęła pracę w Liceum Ogólnokształcącym im. Piotra Skargi. W tej szkole w 1951 roku zdałem maturę i dostałem się na studia na wydziale elektrycznym Politechniki Warszawskiej.

Lądowanie w PLL LOT

– Po studiach trochę pracowałem na różnych budowach, a potem, w 1966 roku – wstyd się przyznać – na prawie trzydzieści lat wylądowałem w PLL LOT. Zaczynałem jako główny energetyk, skończyłem jako dyrektor do spraw inwestycji i rozwoju. Wszystko to, co z samolotu nad lotniskiem widać na dole, było moim udziałem.

W Locie był taki zwyczaj, że po ośmiu latach wylatywało się z rodziną na placówkę PLL LOT. Wyleciałem więc i ja. Z żoną Zofią i córką poleciliśmy do Francji na placówkę w Lyonie. Powinniśmy tam być cztery lata, ale wybuchł w Polsce stan wojenny, więc zostaliśmy rok dłużej, bo w kraju nie można było znaleźć następcy.

Miało to też swoje dobre strony, bo dzięki temu Beata, moja córka, zdała francuską maturę i dostała się na medycynę. Po powrocie do Polski skończyła studia i całe dorosłe życie pracuje w Klinice Neurologii na Banacha.

Kiedy byłem we Francji, rozpoczęła się w śródmieściu Warszawy budowa hotelu Marriott. Budowę rozpoczęli Anglicy, a warszawiacy z zainteresowaniem obserwowali najpierw ogromną dziurę na rogu Alej

Jerozolimskich i Chałubińskiego vis-à-vis Dworca Centralnego, a potem wylaniającą się z ziemi skorupę budynku. Hotel był inwestycją lotowską.

Kiedy czterogwiazdkowy generał ogłosił stan wojenny, Anglicy zwinęli interes, do rana spakowali manatki, przyleciał po nich specjalny samolot i tyle ich widziano.

Wróciłem z Francji do Polski. Wezwał mnie generał Józef Kowalski, były komendant Szkoły Orląt w Dęblinie, który był wówczas naczelnym dyrektorem LOT-u. Generał miał zwyczaj mówić do nas po imieniu, a my zawsze zwracaliśmy się do niego „panie generale”. „Słuchaj – powiedział generał – wróciłeś, więc obejmiesz swoje stanowisko dyrektora inwestycyjnego i skończysz hotel. Musimy tę budowę skończyć”.

Musimy, to musimy, ale jak skończyć budowę, gdy nie ma pieniędzy, nie ma wykonawcy, nie ma operatora. Co jest? Dobre wrażenie. Próby kontaktów z sieciami hoteli Hilton, Sheraton, Meridien, nie dały rezultatu.

Walczyłem z tymi problemami półtora roku i to był największy i najtrudniejszy projekt inwestycyjny, jaki robiłem w Warszawie. W rozwiązaniu problemów pomógł jak zwykle przypadek.

Byłem służbowo w Londynie. Zaprzyjaźniony architekt, który tam mieszkał, zaprosił mnie na kolację. Wśród gości był dyrektor Marriotta na Europę, Francuz, pan Charles Bell. W trakcie rozmowy wspomniałem, że budujemy hotel w Warszawie. Poprosił o więcej informacji,

które po powrocie do Warszawy mu wysłałem. Po dwóch tygodniach przyszedł telex z Londynu, że z Waszyngtonu przyjedzie delegacja Marriotta. Przyjechali, obejrzel i poszło.

Pewnego dnia pojawił się u mnie pan Aleksander Geroe, przedstawiciel firmy ILBAU z Wiednia. Dużej austriackiej firmy budowlanej. Porozmawialiśmy o projekcie i w rezultacie firma ILBAU budowała ten hotel.

„Dokończenie zaczętego dzieła w roku 1984 nie było proste, zagraniczne banki bały się udzielać Polsce kredytów. Sprawę wziął w swoje ręce Mariusz Zakrzewski. Udało mu się namówić do współpracy właściciela jednej z największych w świecie sieci hoteli. Był nim Willa da Marriott, Jr. Potem zachęcił austriacką firmę ILBAU i w efekcie powstała... pierwsza w Polsce spółka typu „joint venture”. (Wspomnienie Włodzimierza Wilanowskiego jednego z dyrektorów PLL LOT).

Budowa została zakończona w 1989 roku. Stał Marriott. Był przez wiele, wiele lat najlepszym hotelem w Warszawie. Wszyscy prezydenci amerykańscy podczas wizyty w Polsce mieszkali w tym hotelu na czterdziestym pięttrze w siedemsetmetrowym apartamencie z kuchnią.

Drugiego Marriotta wybudowałem przy lotnisku na Okęciu. Jest to Hotel by Marriott. O budowaniu mógłbym opowiadać jeszcze długo, ale z okresu pracy w PLL LOT mam także inne, smutne wspomnienia.

Przeznaczenie

– Pamiętam rok 1968. Byłem wtedy głównym energetykiem. Przed świętami wielkanocnymi zaplanowaliśmy z żoną i ośmioletnią córką ferie w Zakopanem. Pamiętam, że to był Wielki Czwartek. Załatwiłem rezerwację biletów na samolot do Krakowa o siedemnastej. Z Krakowa do Zakopanego miał nas podrzucić samochodem mój kolega z LOT-u. Wszystko załatwione, żona z córką czekały na mój powrót z pracy i mieliśmy lecieć.

Dyrektor naczelny świętej pamięci Jan Zwierzyński, zarządził dla szefów służb odprawę. Spóźnił się godzinę, odprawa zamiast o czternastej zaczęła się o piętnastej i się przeciągała. Patrzałem na zegarek, czas uciekał, żona się denerwowała, a ja nie mogłem wyjść. Zorientowałem się, że nie mamy już szans, by zdążyć na samolot. Wyszedłem niby do toalety i zadzwoniłem do żony. Powiedziałem, jak wygląda sytuacja, że wobec tego polecimy w piątek rano. Nie powiem, co usłyszałem od żony. Wróciłem na odprawę.

W pewnej chwili do sali wszedł pracownik ochrony i zaczął coś na ucho mówić dyrektorowi. Jan Zwierzyński słuchał, a jego twarz robiła się na przemian czerwona i biała. Gdy tamten skończył, dyrektor wstał i nienaturalnym głosem powiedział: „Towarzysze, pod Zawoją rozbił się antek”.

Zapanowała śmiertelna cisza. Tym antkiem, czyli samolotem An-24, miałem z żoną i córką lecieć

...tym antkiem miałem z żoną i córką lecieć do Krakowa



do Krakowa. Zginęły pięćdziesiąt trzy osoby. Samolot walnął w górę.

Czy to nie był palec boży?

– Specjaliści z Głównej Komisji Badania Wypadków Lotniczych ostatecznie wysnuli wniosek, że... piloci po prostu się zgubili. Nie wiedząc, gdzie są, zaufali obsłudze radaru i wykonywali wszystkie jej polecenia.

Drugi wypadek lotniczy, który bardzo przeżyłem i do dziś przeżywam, to była katastrofa w Lesie Kabackim.

9 maja 1987 roku byłem z żoną, córką i moją mamą na naszej działce w Serocku. Coś tam na działce robiliśmy, gdy w pewnej chwili, koło południa, przybiegł sąsiad. Powiedział, że właśnie w Lesie Kabackim rozbił się samolot pasażerski. Włączyłem radio i usłyszałem ten straszny komunikat.

Samolot Il-62M „Tadeusz Kościuszko”, lecący na trasie Warszawa-Nowy Jork, rozbił się w Lesie Kabackim w trakcie podchodzenia do lądowania awaryjnego po awarii silników.

Powiedziałem do żony, że jadę na lotnisko. „Nie pojedziesz sam – powiedziała stanowczo żona. – Beata zostanie z babcią, a ja jadę z tobą”. Wsiadliśmy do wartburga, wcisnąłem gaz, włączyłem długie światła i często naciskając klakson, pędziłem z Serocka na Okęcie. W Jabłonnej zatrzymał mnie patrol drogówki. „Gdzie pan tak pędzi, panie kierowco? Gdzie się panu tak spieszy?” – zagadnął milicjant.

Ja mu na to, że pędzę, bo w Lesie Kabackim rozbił się samolot, jestem dyrektorem w Locie i muszę być jak najszybciej na lotnisku. Powiedziałem to zdenerwowany, przejęty, więc panowie milicjanci, a było to dwóch sierżantów, błyskawicznie podjęli decyzję. Jeden z nich powiedział: „Niech pan wsiada do samochodu, będziemy pana prowadzić”. Za piętnaście minut byliśmy na lotnisku.

Zawsze w rocznicę tej katastrofy chodzę pod krzyż w lesie i pod tę pamiątkową tablicę. Może dlatego tak to przeżywam, że byłem w komisji lotowskiej, która po katastrofie zajmowała się wszystkimi sprawami ludzkimi, kontaktami z rodzinami, pogrzebami. W tej strasznej katastrofie zginęli wszyscy będący na pokładzie. 183 osoby.

Całe życie mieszkaliśmy w Warszawie, na Sadybie. Ale kiedy poszedłem na emeryturę, koszty utrzymania domu na Sadybie okazały się dla emeryta zbyt wysokie. Poza tym nie bardzo wiedziałem, co ja będę na tej emeryturze robił i czy w ogóle będę coś robił. Córka wyszła z domu i poszła na swoje, zostaliśmy z żoną i pomyśleliśmy, że trzeba Sadybę sprzedać i czegoś poszukać koło Warszawy. Trafiliśmy do naszej gminy. Akurat na Migdałowej kończono segmenty.

Tak naprawdę o tym, że podjęliśmy decyzję o zakupie mieszkania tutaj, zdecydował w zasadzie drobiazg.

Były lata dziewięćdziesiąte i moja żona jeździła do dentysty. Na ulicy Tulipanów w Józefosławiu miała swój gabinet zaprzyjaźniona z nami dentystka. Żona z Sadyby, a konkretnie z przystanku na Bonifacego, jechała do pani doktor piętnaście minut, a więc bardzo krótko.

Jeśli przeprowadzimy się w te okolice, powiedzieliśmy sobie, będziemy mieszkali na wsi i blisko Warszawy. Do Nowej Iwicznej sprowadziliśmy się w styczniu 2003 roku. Żona niestety zmarła dwa i pół roku temu. Dwa tygodnie przed sześćdziesięcioleciem naszego ślubu. Nie doczekała diamentowych godów.

Zostałem z kotem, który pracuje nocą, a teraz śpi. Ale nie jestem sam. Osiedle, w którym mieszkam, i ulica Migdałowa mają jedną wspaniałą cechę. To osiedle i ulica przyjaciół. Tu prawie wszyscy się znają, są po imieniu i pomagają sobie.

Nadal jeszcze pracuję, bo gdy przeszedłem na emeryturę, moi koledzy inwestorzy zwrócili się do mnie z propozycją, abym pomagał im przygotowywać projekty budowlane. I robię to do dzisiaj. Współpracuję ze spółką deweloperską, która buduje różne obiekty w Warszawie, na przykład biurowiec na rogu Marszałkowskiej i Hożej, dom mieszkalny przy Alei Niepodległości, obiekty w Poznaniu i inne. Moje doświadczenie na coś się jeszcze przydaje i nie spędzam czasu tylko z kotem. Za co go bardzo przepraszam.



Na koniec opowiem jeszcze zabawną historyjkę związaną z dziadkiem Hipolitem. Dziadek miał gospodarstwo, ale też hodował kwiaty. Pamiętam przepiękny zagon kwitnących tulipanów. Jako mały brzdąc patrzyłem, jak je ścina dwa razy w tygodniu i sprzedaje na targu w Pułtusku. Któregoś dnia, ubrany w fartuszek, poszedłem dzielnie w tulipany i postanowiłem dziadka wyreczyć. Narwałem cały fartuszek tulipanowych główek, ułożyłem w fartuszku i zaniósłem dziadkowi (*śmiech*).

Dziadek wyjmował z mojego fartuszka kielichy tulipanów i udawał, że się cieszy, choć minę miał niewesołą. ■

Łakocie Natalii



Byłam bardzo grzecznym dzieckiem. Życia nie miałam, tylko się uczyłam. Taką byłam dziwną dziewczyną. Inni się bawili, chodzili na imprezy, a ja się uczyłam. Dopiero jak poszłam do liceum, to wrzuciłam na luz i zaczęłam żyć.



W pokoju Natalii wisi na ścianie specjalna tablica. Są na niej fotografie z miejsc, w których była, fotografie ważnych w jej życiu osób – babci, do której lubiła się przytulać, dziadka, rodziców, siostry z chłopakiem, którego cała rodzina uwielbia, fotografie przyjaciół, ludzi, których poznała, wycinanki z kolorowych magazynów.

– Tu jest zdjęcie, na którym jesteśmy z Anią, moją siostrą, na gokartach, i zdjęcie galaretki z mięsem, bo to było pierwsze danie, jakie samodzielnie zrobiłam – opowiada, śmiejąc się, Natalia Wielgus. – A to są zdjęcia mojej ciasteczkowej biżuterii, o której opowiem, i lista moich marzeń, które krok po kroku staram się spełnić.

Lista marzeń

Natalia ma wiele marzeń. Nie są to jednak marzenia o locie na księżyc, księżciu z bajki czy wyprawie dookoła świata. Są to pomieszane marzenia dziecka, nastolatki i dziewczyny, która patrzy na świat i widzi go po swojemu. Marzenia poważne i zabawne. Postanowienia i zamiary.

Co jest na liście marzeń? Natalia czyta, szczerze od czasu do czasu wybucha śmiechem i świetnie się przy tym bawi.

– Zrobić album całej rodziny (bo nigdy nie mam na to czasu); pójść w końcu na czyjeś wesele, bo jeszcze nigdy nie byłam, pobawić się klockami Lego i samochodem na konsolę (widząc nasze zdziwienie mówi: „tak, tak, jeszcze teraz”); zrobić zdjęcie z Filipem Bobkiem (aktorem z serialu *Brzydula*); namalować duże graffiti; zrobić sobie sesję zdjęciową; zrobić sesję zdjęciową komuś; kupić laptopa za własne zarobione pieniądze; kupić sobie aparat

fotograficzny, lustrzaną za własne pieniądze; iść do wesołego miasteczka; polecieć balonem z wyjątkową osobą; zobaczyć w jakimś zoo ogromnego rekina; nauczyć się boksować; jeździć gokartem; zagrać z przyjaciółmi w paintball; odbyć lot w aerozolu – to wykreśliłam, bo jednak nie chcę; wprowadzić świat wirtualny do rzeczywistości – też skreśliłam; zjechać tyrolką, czyli taką tyrolską kolejką linową; zapisać się na lekcje salsa; założyć własną firmę i być zawsze niezależną.

Mam jeszcze kilka innych marzeń – dodaje Natalia. – Nawet zastanawiałam się, czy je dopisać. Chciałabym na przykład w przyszłości kupić sobie własne mieszkanie, po swojemu je umeblować, urządzić i być samodzielną.

Uwielbiam słuchać muzyki. Słucham, gdy pracuję, gdy potrzebuję się skupić. Lubię rap, pop, remiksy różnych utworów, ale też muzykę klasyczną. Sama nie gram na żadnym instrumencie, choć zawsze pragnęłam grać na fortepianie. Chciałam też grać na perkusji i miałam kiedyś elektryczną gitarę. Była śliczna, biało-czerwona, ale z grania nic nie wyszło, bo było za głośno w domu (*śmiech*). Wiele miałam w życiu pomysłów i wiele rzeczy chciałam robić.

Droga do samodzielności

– Do szkoły podstawowej chodziłam w Łazach, a potem uczyłam się w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kilińskiego w Warszawie na Żoliborzu. Było to liceum o profilu plastycznym. Przez rok uczęszczałam do szkoły wizażu Nova i brałam udział w dwudniowych warsztatach zorganizowanych przez duńską firmę kosmetyczną GOSH Copenhagen, które wygrałam w konkursie makijażu. Pewnie państwa zaskoczę, gdy powiem, że teraz uczę się rachunkowości – powiedziała Natalia.

I rzeczywiście, byliśmy bardzo zaskoczeni, ponieważ Natalię chcieliśmy przedstawić Czytelnikom „mojej Lesznowoli” z uwagi na to, co robi, a to z rachunkowością wiele wspólnego nie ma. Natalia jednak myśli do przodu. Chciałaby w przyszłości założyć własną firmę, a wtedy znajomość rachunkowości z pewnością jej się przyda. Tak czy inaczej nie będzie to czas zmarnowany.

– Proszę tylko nie myśleć, że będę chciała otworzyć biuro rachunkowe (*śmiech*). Co to, to nie.



...robiłam torty
w stylu angielskim

...wpadłam na pomysł, by robić słodką, ciasteczkową biżuterię

Obecnie mam taki pomysł, żeby wrócić do wizażu, bo to jest coś, co mnie naprawdę interesuje. Myślę więc nad tym, by dalej chodzić na warsztaty.

Hobbystycznie robię biżuterię, jeżdżę na kiermasze i swoje wyroby sprzedaję.

Na samym początku, wiele lat temu marzyłam, by zostać projektantką mody. Miałam w pokoju manekina, wymyślałam i upinałam na nim różne kreacje. Babcia Helena uwielbiała szyć, więc jeździłam do niej na wakacje i się uczyłam.

Szybko się jednak okazało, że życie to nie moja bajka. Jakoś mi to nie szło i marzenie, by zostać projektantką mody, jak szybko przyszło, tak szybko odeszło.

Potem w moim życiu był bardzo poważny, dość długi etap robienia tortów. Robiłam torty w stylu angielskim. Są to wyroby artystyczne, od wieków robione w Anglii. Torty te przypominają dzieła z modeliny. Są pyszne, piękne i wymagają sporo pracy.

Najbardziej lubiłam je dekorować. Przepisów szukałam w Internecie, a dekoracje z masy cukrowej wymyślałam sama. Można na przykład zrobić tort w kształcie pantofelki lub przypominający różnego rodzaju kosmetyki. Ja uwielbiałam torty mistrza cukiernictwa, Włocha Buddy Valastro. Oglądałam serial telewizyjny *Cake Bossa*, którego był gwiazdą. Jego torty zachwycają nie tylko smakiem, ale też wielkością. Bo jeśli robi torty w kształcie panny młodej w pięknej weselnej sukni czy wspaniałego indonezyjskiego zamku lub Krzywej Wieży w Pizie, to można sobie ten rozmach wyobrazić.

Miałam szczęście, bo gdy przyjechał do Polski w 2015 roku, by wystąpić w programie „Dzień dobry TVN”, mogłam go spotkać i nawet mam z nim zdjęcie.

Ta moja przygoda z produkcją tortów i ciasteczek miała jednak jedną wadę. Bardzo mi smakowało to, co wypiekałam, a ponieważ mam niedoczynność tarczycy, na efekty nie trzeba było długo czekać. Bardzo przytyłam. Lubiłam swoje pierniczki i ciasteczka wielkanocne. Produkcja i wypiek ciasteczek odbywały się w domu. Potem mama pomagała je pakować i wędrowały z nami na kiermasze i do klientów. Moje bezy kawowe wszystkim smakowały.

Torty robiłam jednopiętrowe. Najbardziej podobał mi się chyba ten z kosmetykami zrobiony na szesnaste urodziny.

Fascynacja wypiekami trwała trzy lata i zaczęła się w pierwszej klasie gimnazjum, a skończyła, gdy lekarz powiedział, że dla własnego dobra powinnam zmienić hobby.

Z ciasteczek jednak nie zrezygnowałam. Zaczęłam robić takie, które są apetyczne, ale niezjadliwe, i wzięłam się za gubienie wagi.

Wpadłam na pomysł, by robić słodką, ciasteczkową biżuterię z... modeliny. Można ją zobaczyć na FB na stronie *Lakocie Natalii*.

Na dowód tego Natalia wyjmuje z pudełek i torebek słodkie dzieła własnych rąk. Są tu piękne babeczki z ogromną ilością bitej śmietany przyozdobione prawie marcepanowymi różami, są choinkowe biało-czerwone laski,

podpiekane ciasteczka z kolorową posypką, słodkie gwiazdki, różowe serduszka i ciasteczkowe ludziki – chłopcy w kapeluszach, a dziewczynki w kokardkach na głowie. Są zawieszki, bransoletki i kolczyki. Aż trudno uwierzyć, że to wszystko jednak niejadalne, a przecież takie apetyczne.

– Zaczęłam jakieś pięć lat temu. Nikt mnie nie uczył, nikt do tego nie zachęcał i nikt nie pokazał, jak to się robi. Do wszystkiego doszłam sama. Szukałam informacji w internecie, potem poznawałam masy, z których się taką biżuterię robi, uczyłam się robienia form.

Wszystko zaczyna się od zmęczenia w palcach kawałka modeliny. Polega to na ugniataniu jej, formowaniu, nadawaniu faktury, malowaniu, wpinaniu zawieszek i innych precyzyjnych bardzo działaniach. Na przykład na robieniu śmietany.

Śmietana to jest coś, co na wierzchu mają moje babeczki śmietanowe, ale oczywiście nie są one do jedzenia, to moja biżuteria. W uszach mam w tej chwili wiszące ciasteczka, które bardzo się podobają nie tylko dziewczynom, ale też dorosłym kobietom.

Jedną z moich klientek, która miała na sobie moją biżuterię, zatrzymywały panie na ulicach w Hiszpanii i pytały, skąd to ma i gdzie takie rzeczy można kupić. Niektórzy pytają, czy te moje ciasteczka są słodkie. W pewnym sensie tak. Dla mnie są słodkie.

Pokażę państwu, jak to się robi.

Ciasteczko

– Wyjęłam z torebki modelinę. Ociepliłam w dłoniach, by stała się bardziej miękka,

i rozmięczam ją w palcach, formując kulę. Tę kulę trochę rozpląszczam, nadając jej kształt, i robię w środku niej specjalnym narzędziem dziurkę. Bokom spłaszczonej kuli innym narzędziem – taką szczoteczka – nadaję chropowatą fakturę.

W jednym miejscu na obwodzie spłaszczonej kuli umieszczam wkręt z kółeczkiem, czyli zawieszka. Wkręcam, a nie wbijam, bo wkręcona nie wypadnie.

Biorę kolejny plaster modeliny, rozmięczam go i mieszam ze specjalnym płynem. Kiedy uzyskam z tego płynną modelinę, powstanie polewa na moje ciasteczko. Żeby wyglądało na prawdziwe i wypieczone, biorę suchy starty pastel i nadaję lekko brązowy kolor. Na polewę dodam jeszcze tylko trochę słodko wyglądającej posypki i na koniec moje ciasteczko trafi do prawdziwego piekarnika. Tam w temperaturze 120 stopni spędzi 30 minut. Następnego dnia muszę jeszcze je polakierować.

Po wszystkie półfabrykaty jeżdżę do hurtowni w Warszawie i wszystko kupuję za własne pieniądze.

Moją ciasteczkową biżuterię kupują głównie nastolatki lub kilkuletnie dziewczynki, które, gdy ją zobaczą na kiermaszach, namawiają mamy, by im kupiła. To daje mi dużo energii.

Kiedyś chciałam mieć prawdziwą cukiernię. Mama też marzyła o małej, fajnej cukierni z pyszną kawą. Mogłabym tam też wystawiać moją biżuterię i torty. Tylko te torty... pewnie bym podjadała i obawiam się, że wróciłabym do starej wagi (*śmiech*).

Natalia w czerwcu kończy rachunkowość. Nie poddaje się, choć czasami, jak mówi, gdy ma przez sześć godzin praktyki i tylko księguje, to bywa taki moment, że ma ochotę rzucić laptopem, a potem wypić melisę i wyjść.



*...do wszystkiego
doszłam sama*

Co robi, gdy nie pracuje nad kolejnymi łakociami? Uwielbia tańczyć.

– Tańczę głównie w domu. Nie mam partnera do tańca, więc wykonuję solówki albo tańczę z mamą. Zresztą taniec pomógł mi zrzucić wagę. Kiedy się odchudzałam, tańczyłam przez trzy godziny dziennie. Czasem do drugiej czy trzeciej w nocy. A poza tym kocham zwierzęta, szczególnie mojego psa Emilcia, i lubię urządzać wnętrza.

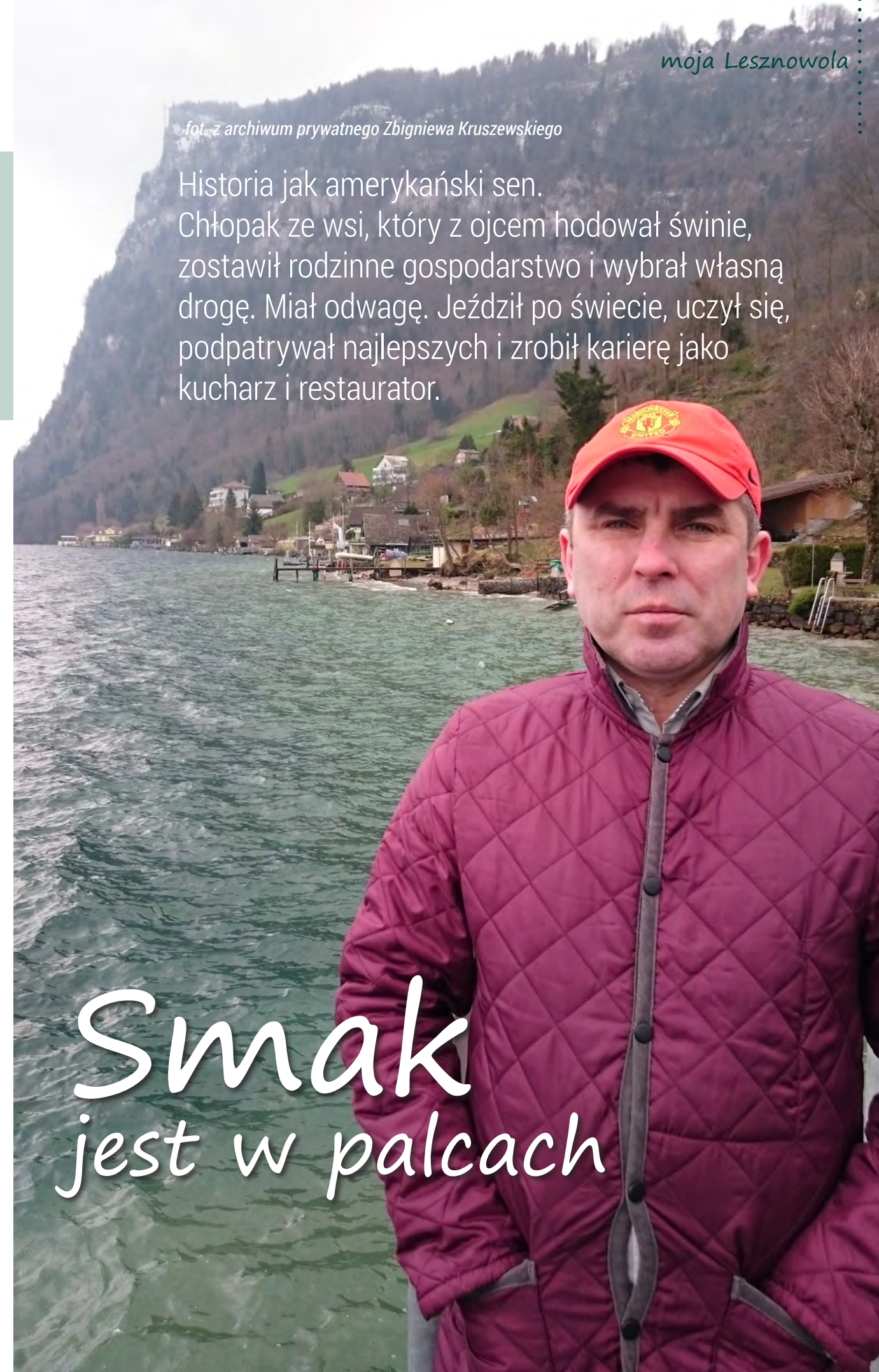
Na razie Natalia tworzy kolejne modelinowe słodkości. Teraz przyszła pora na te z akcentem świątecznym. Czy kiedyś znudzi jej się ugniatanie modeliny? Tego nie wie. Wie jedno.

– Jeszcze siebie nie odnalazłam w stu procentach – mówi szczerze i szuka dalej. Co znajdzie? Mamy nadzieję, że coś, co pozwoli jej zrealizować kolejne marzenie z długiej listy, wypisanej kiedyś na tablicy. ■



foto z archiwum prywatnego Zbigniewa Kruszewskiego

Historia jak amerykański sen. Chłopak ze wsi, który z ojcem hodował świnie, zostawił rodzinne gospodarstwo i wybrał własną drogę. Miał odwagę. Jeździł po świecie, uczył się, podpatrywał najlepszych i zrobił karierę jako kucharz i restaurator.



*Smak
jest w palcach*



Na krańcach naszej gminy w Mysiadle jest restauracja *Gusto*. Jej właścicielem jest Zbigniew Kruszewski. Szczypty, niewysoki. Gdy w sweterku, czyli prywatnie, pojawia się w restauracyjnej sali, jakoś nie pasuje do profilu kucharza i restauratora. Postanowiliśmy poznać tego szefa kuchni i dowiedzieć się, jak trafił do naszej gminy i jak to się stało, że wybrał taki zawód.

Chłopak z gospodarstwa

– Urodziłem się w małej miejscowości pod Grudziądzem – opowiada pan Zbigniew. – To bardzo fajne miejsce. Nazywa się Gruta. Mieszkałem tam do dwudziestego pierwszego roku życia. Mieliśmy gospodarstwo, dwadzieścia pięć hektarów ziemi. Samego obejścia był chyba hektar. Uprawialiśmy własne pomidory, ogórki i inne warzywa, krzewy porzeczki i agrestu, drzewa owocowe, jabłonie, gruszki, śliwy, wiśnie. Mogliśmy się z naszego gospodarstwa sami wyżywić. Ziemiaki mieliśmy swoje, zboże odwiozło się do młyna i była mąka. Piekliśmy własne chleby w piecach chlebowych, masło też się utłukło, bo śmietany sąsiad miał pod dostatkiem. Krów nie trzymaliśmy, bo mleko jakoś nam nie szło. Ojciec i ja woleliśmy napoje chmielowe.

Całe gospodarstwo obrabialiśmy we dwóch z ojcem, ale trzeba powiedzieć, że było ono dość zmechanizowane i zmodernizowane. Specjalizowaliśmy się w chowie tuczników. Świnie chowaliśmy w beżściółkowych, piętrowych klatkach, sucha pasza była podawana do klatek ciągiem mechanicznym, a ciepła woda, tysiąc litrów dziennie, prosto z bojlerów do smoczków zamontowa-

nych w klatkach. Nakarmienie sześciuset świń zajmowało nam niecałą godzinę.

Do szkoły podstawowej chodziłem w Grucie, a potem poszedłem do technikum gastronomicznego w Grudziądzu, co bardzo wkurzyło ojca. Ojciec chciał, bym został w gospodarstwie, a ja chciałem gotować.

Moja mama mistrzynią kuchni nie była, ale jak zrobiła karpia na święta, to palce lizać. Rewelacyjnie gotowała babka Marianna. Przy niej się uczyłem, bo razem z nią gotowałem. Z ojcem najczęściej śmigaliśmy na obiady do restauracji, żeby mamy nie zmuszać do gotowania. W domu było nas troje rodzeństwa. Mam dwie młodsze siostry, Kasię i Sylwię, które też poszły w gastronomię. Jedna do dziś pracuje u Chińczyka. Tylko Kasia nie pracuje w gastronomii, a jak przygotowuje w domu przyjęcie i czegoś nie wie, to ma zawsze „telefon do przyjaciela” (*śmiech*).

Wiele nauczyłem się od ojca. On robił wyroby masarskie, pasztety, wędził mięso i wędliny.

W czasie nauki w technikum miałem okazję wyjechać na praktyki do NRD, które odbywały się na Rugii, największej i najbardziej atrakcyjnej wyspie Niemiec. Były tam bujne lasy, ciągnące się kilometrami piaszczyste plaże, wysokie klify i niezwykle urozmaicone brzegi z licznymi zatokami i półwyspami o przedziwnych kształtach. Latem przyjeżdżało tam wielu turystów z Niemiec i ze świata, którzy chcieli jeść.

Praktyki w restauracjach zaczynaliśmy jak zwykle od zmywaka, ale mnie po dwóch tygodniach przeniesiono do pracy w hotelowej kuchni. Hotel był potężny. Wyda-

wał rano ponad tysiąc śniadań. Z ośmiu tygodni praktyk tylko dwa spędziłem na zmywaku, a resztę w hotelowej kuchni. W czasie praktyk zarabiałem, bo za wykonaną pracę nam płacili. Dziesięć marek za godzinę. Dostawaliśmy wypłatę za przewidziane godziny praktyki, a jak ktoś chciał pracować dłużej, to zarabiał dodatkowe pieniądze. I to był gwóźdź programu, bo piętnastego lipca 1990 roku marki wschodnie zostały zamienione na marki zachodnie. Dostałem więc za okres praktyki trzy tysiące marek zachodnich. To była kupa forsy. Kupiłem sobie BMW. Mój pierwszy normalny samochód.

Niemiecka kuchnia nie zrobiła na mnie wrażenia. Za dużo gałki muszkatołowej i mleka, za mało smaków wyrafinowanych.

Z technikum wyszedłem jako technik technologii żywienia zbiorowego i ruszyłem w świat. Bez znajomości języka, bez konkretnej przystani. Ruszyłem do Włoch.

Tak, to prawda, trzeba było mieć trochę odwagi, ale ja wtedy tak na to nie patrzyłem. Wiedziałem, że jak się na coś nie zdecyduje, nie zaryzykuje, to do niczego nie dojdę.

Na początku pracowałem dorywczo na budowach i łapałem włoskie słowa. Doszedłem do wniosku, że język włoski nie jest trudny, bo po dwóch, trzech miesiącach już się jako tako z Włochami dogadywałem. Potem zacząłem pracować w kuchni. Jak każdy początkujący byłem najpierw na zmywaku. Nie jest tak, że jak się skończy szkołę gastronomiczną, to się z miejsca zostaje kucharzem i można gotować. Trzeba się jeszcze długo uczyć.

Praca na zmywaku miała tę zaletę, że nie trzeba było dużo mówić. Można było patrzeć, obserwować i słuchać. Szybko też moje zainteresowanie gotowaniem dostrzegli szefowie. Zauważyli też, że do gotowania mam smykałkę, że garnę się do kuchni, i pozwalali mi na drobne prace. Najważniejsze jednak było przyglądanie się, podglądanie włoskich kucharzy. Ponieważ mam dobrą pamięć, wiele rzeczy, wiele przepisów zapisywałem w swojej głowie.

Po półrocznym pobycie we Włoszech wróciłem do Polski. Przechodziłem od jednej kuchni do drugiej, bo wtedy jeszcze ciężko było o pracę kucharza. Wszystkie kuchnie były obsadzone przez starych kucharzy i młodemu ciężko było się wbić między dziadków. Łapałem więc różne okazje. Pracowałem w kuchniach barowych, kuchniach w domach weselnych, na różnego rodzaju spotkaniach i imprezach.

Kucharskie wędrówki

– Gdy zaczęły u nas powstawać wielkie supermarkety, a przy nich restauracje, zatrudniłem się w jednej nich. Była to wietnamska restauracja Tao-Tao w supermarkecie w Grudziądzu. Ponieważ nie znałem kuchni wietnamskiej, musiałem zaczynać od początku, czyli od pracy na zmywaku. Po miesiącu awansowałem i poszedłem do kuchni. Popracowałem w niej kolejne kilka miesięcy, złapałem dobre ruchy i zostałem przeniesiony do Poznania, a właściwie do wielkiego supermarketu Auchan w Tarnowie Podgórnym. Tam otwierano nową restaurację z sieci Tao-Tao.



Roboty było co niemiara. Harowa od wczesnego rana do późnej nocy – jak to w wietnamskiej restauracji. Po kilku miesiącach miałem tę pracę w Tarnowie Podgórnym trochę dość, ale moi szefowie powiedzieli, że do Grudziądza już nie wrócę, bo otwierają supermarket Auchan w Piasecznie, a w nim kolejną wietnamską restaurację z sieci Tao-Tao. I tak w 1998 roku po Grudziądzu i Tarnowie Podgórnym, trafiłem do Piaseczna. Zostałem kierownikiem restauracji, ale też gotowałem. Po trzech miesiącach udało mi się wprowadzić swoje rządy i własny sposób prowadzenia restauracji. Lokal zaczął pracować na zysku. Miał dobrą obsługę i taką też kuchnię. W dwóch poprzednich restauracjach wiele się nauczyłem, a po za tym mieszkalem z Wietnamczykami, razem jedliśmy śniadania i kolacje. Gotowaliśmy nie tylko to, co jedzą i gotują Wietnamczycy, ale też wprowadziliśmy dania kuchni europejskiej.

Po tym sukcesie wkrótce zostałem kierownikiem sieci tych restauracji i trwało to dotąd, aż na czele sieci Tao-Tao stanął ściągnięty z Wietnamu siostrzeniec prezesa. Nie znał polskich realiów, a uparcie wprowadzał własne rządy. Nie mogliśmy się dogadać i w 2002 roku podziękowałem za pracę i odszedłem.

Tym razem do japońskiej restauracji Sushi Bonsai w Warszawie na Sadybie. To były początki sushi. Pracowałem tam dwa lata i przeszedłem do koreańskiej restauracji Ohh! Sushi, prowadzącej naprawdę dobrą kuchnię. Tam dobrze poznałem oryginalną kuchnię koreańską. Gotowaliśmy dla Koreańczyków, pracowników firmy Kia, Hyundai, Samsung i innych. Dla nich była jedna karta dań, a dla Polaków druga. Fantastyczne jedzenie. Przede wszystkim owoce morza, słynna koreańska sałatka kimchi, której głównym składnikiem jest kapusta pekińska. Na tej sałatce robi się zupę, bigos i placek. Ale też była wspaniała wołowina marynowana w sezamie, grillowane

boczki i bardzo dobre zupy układane dekoracyjnie i gotowane w specjalnych wielkich kotłach-patelniach.

Po Ohh! Sushi objąłem restaurację w Starej Papierni w Konstancinie. W ciągu trzech, czterech miesięcy z restauracji, której groziła kłapa, udało się zrobić lokal, do którego na dwa, trzy tygodnie wcześniej trzeba się było zapisywać na stoliki, żeby zjeść sushi.

I znowu, gdy wieść się rozeszła, że w Konstancinie jest taka dobra restauracja, ktoś się mną zainteresował i złożył propozycję, żeby poprowadził restaurację w centrum Warszawy, na Wilczej. Obejrzałem restaurację, punkt wspaniały, i zostałem w niej na całe siedem lat. Była to japońska restauracja Sushi Maguro, jedna z trzech najlepszych restauracji sushi w Warszawie. Kto tam nie przychodził? Politycy, premierzy, posłowie, aktorzy, gwiazdy telewizyjne. Było na kogo popatrzeć, tylko czasu nie było, bo natłok gości był ogromny.

Po siedmiu latach pracy na Wilczej namówił mnie kolega, żeby odkupił od niego restaurację w Mysiadle. Odkupiłem i prowadzę ją już sześć lat.

Moje Gusto

– Całą zdobytą wiedzę stosuję teraz w mojej restauracji, organizując weekendowe tematyczne prezentacje kuchni świata, które poznałem. Są więc u mnie weekendy z kuchnią tajską, chińską, wietnamską, koreańską, japońską. Są weekendy z kuchnią europejską: francuską, belgijską, włoską, niemiecką, szwajcarską. Kuchnie krajów, w których pracowałem, do których jeździłem zapraszany na różnego rodzaju pokazy kulinarne, do których jeździłem na wycieczki czy na krótkie wakacje. Wszędzie czegoś się nauczyłem, coś zobaczyłem, czegoś nowego posmakowałem. Dlatego to jest restauracja, która się nie nudzi, bo co piątek oferuje coś nowego.

To, co będzie, zapowiadam zawsze na FB i cieszę się, że ludzie bardzo się tym interesują. Ostatnio kupiłem do restauracji pięknego łososia. Niosę go, a jakiś gość mówi: „O, jaka piękna ryba! – Za chwilę będzie z niej równie piękny filet – odparłem. – Jak to za chwilę?” – zapytał i od słowa do słowa stanął zakład, że w czasie poniżej osiemdziesięciu sekund zrobię na czysto fileta gotowego do smażenia.

Weszliśmy do kuchni, wziąłem nóż, pach, pach, ciach, ciach i w sześćdziesiąt sześć sekund łosoś był rozebrany, a filet gotowy do smażenia. Cały zakład nagrał kamerką mój kolega i wpuściliśmy filmik na FB. Miał dwadzieścia cztery tysiące odsłon.

Lubię tę moją robotę, choć nie jest łatwa. Raz się wstaje do pracy o czwartej w nocy, innym razem o dziesiątej rano, zależnie od tego, co jest do zrobienia. Jutro na przykład zaczynam pracę o piątej rano, bo na ósmą mam przygotować catering dla Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka dla trzydziestu pięciu osób.

Moją specjalnością są dania z jagnięciny. Lubię baraninę i jagnięcinę, ale są to ciężkie mięsa do obróbki. Trzeba się naprawdę postarać, żeby wydobyć z nich smak i tak doprawić, żeby nie zalatywały mlekiem i baranem. Bardzo lubię smażyć steki. To jest tylko pozornie łatwe, bo co to za sztuka rzucić mięso na patelnię i obracać raz lewą, raz prawą stroną? Zapewniam jednak, że usmażyć dobry stek nie jest łatwo.

Samo gotowanie nie jest trudne. Jak ktoś umie potrawy dosmaczyć, to doprawi. Najtrudniejsze jest ogarnięcie pracy w kuchni, tempo i stres. Wchodzi do restauracji człowiek za człowiekiem, drukarka wali zamówienia i jak tu zrobić, żeby każdy stolik dostał to, co zamówił, w odpowiednim momencie, żeby się w kuchni nie pogubić i żeby wszystko opanować.

Prowadzenie restauracji to przede wszystkim bycie z gośćmi. Tu prawie każdego, kto przychodzi, znam, z każdym się witam, rozmawiam, wiem, co kto chce, co kto lubi, co je i pije. Nawet nie musi mówić. W mojej restauracji panuje przyjacielska, rodzinna atmosfera. Często ludzie, którzy się nie znają i siedzą przy sąsiednich stolikach, po pewnym czasie zestawiają stoliki i są razem.

I to jest powód do zadowolenia i satysfakcji z tego, co się robi. Pewnie dlatego nie chciałem zostać w gospodarstwie, bo czułem, że mój świat jest gdzie indziej. W kuchni i restauracji.

Gdybym nie był kucharzem, może mógłbym zostać handlowcem, bo w moim fachu jak w handlu trzeba sprzedać towar. Gdy byłem młody, lubiłem malować. Gram też na akordeonie. Mój syn też jest uzdolniony muzycznie, gra na gitarze basowej. Kucharzem być nie chce, bo ma głowę do matematyki. W kuchni też trzeba być matematykiem. Tu jest logistyka, pamięć i rachunek prawdopodobieństwa. Trzeba pamiętać lata, tygodnie, jak to było rok temu, trzeba przeliczać gramatury, procenty. Trzeba mieć naprawdę ogromną wiedzę. Przecież nie



biegam z książką kucharską i nie zaglądam, co jak zrobić. Mam to w głowie. Wiem, że jak robię ciasto, to podstawą jest jedno jajko, trzy deko mąki i dwa deko cukru. Potem można tworzyć wielokrotność. A jak doprawiać? O tym decydują palce. Szczypta tego, szczypta tego i jeszcze szczypta. W palcach mam smak. W nich są receptory, które jak elektrody przekazują wszystko do mózgu.

Co robię, jak nie gotuję, nie zarządzam, nie jeżdżę po mięso, ryby i warzywa? Wędкую z synem Wiktoorem. Robimy wyprawy po całej Polsce. Na Zalewie Solińskim i Dunajcu łowimy sportowo na muchę i spinning. Na muchy łowimy głównie pstrągi. Rekordowy szczupak złowiony przez syna na spinning ważył dziesięć kilogramów. Miał metr długości. Walczył z nim ponad pół godziny. ■



Tego wieczoru centralnym elementem spotkania był szklany słoik. W tym słoiku nie było jednak marynowanych grzybków, zielonych korniszonów ani śliwek w occie. W tym słoiku, jak powiedziała Beata Podsiadły z Akademii Cztery Pory Roku, znajdowała się „dorodna matka kombuczowa”.



Matka jest najważniejsza



W chłodny wieczór uczestniczki Klubu Kobiet „Panie Przodem” zebrały się, by stworzyć pierwsze w swoim życiu kombucze i domowe octy. Na pierwszy ogień poszła kombucza, czyli napój uzyskiwany ze słodzonej herbaty poddanej fermentacji przez tak zwany grzybek herbaciany, czyli naszą matkę.

Panie grzybek wahały, dotykały i miały różne skojarzenia dotyczące jego wyglądu. Grzybek herbaciany tak naprawdę grzybkiem nie jest, ale jest skupiskiem wielu gatunków bakterii i drożdży. Grzybek na stole podczas spotkania był naprawdę dorodny, wyrosnięty, a ponieważ miał dać początek kolejnym grzybkom, nie bez powodu został nazwany matką.

Panie wymyły i wyparzyły słoiki, dodały do nich zaparzoną herbatę, cukier i odpowiednią ilość wody. Potem matka, choć nie brzmi to dobrze, została podzielona na wiele kawałków i jako zaczyn wrzucona do słoików. Już niedługo jej dzieci stworzą nową kulturę kombuczy.

Wszystkim, którzy z tą nazwą spotykają się po raz pierwszy, powiemy tylko, że pochodzi ona z Japonii. Napój jest lekko słodki, kwaskowaty, orzeźwiający i przypisuje mu się wiele właściwości leczniczych. Kombuczę mieszamy łyżeczkami plastikowymi lub drewnianymi i unikamy jej kontaktu z metalem. Najlepiej codziennie próbować i sprawdzać, jak zmienia się jej smak.

Ponieważ z podziałem grzybka poszło dość sprawnie, przyszła pora na domowe octy. Na stole pojawiły się więc kolejne słoiki i jabłka, bo ocet jabłkowy był nowym bohaterem spotkania, oczywiście zaraz po „dorodnej matce kombuczowej”.

Zanim panie przystąpiły do wytwarzania własnych octów, próbowały tych przyniesionych przez panią Beatę. Był więc ocet jabłkowy z goździkami z ubiegłego roku i ocet z tego roku, który jeszcze musi leżakować. Był też oryginalny ocet jagodowy o pięknym ciemnym kolorze. Były octy bardziej i mniej klarowne, o smaku mniej lub bardziej intensywnym.

Nim panie staną się ekspertkami od wytwarzania octów, najpierw

podstawa. Do wykonania domowego octu jabłkowego najlepsze są stare gatunki jabłek bez chemii i oprysków. Poza tym potrzebny jest wyparzony litrowy słoik, woda, łyżeczka lub dwie białego lub ciemnego cukru i gaza do zamknięcia słoika.

Najpierw jabłka zostały więc pokrojone na małe kawałki i wrzucone do słoika, tak by wypełniły go do połowy, a potem zalane wodą wymieszaną z cukrem. Teraz w ciepłym miejscu, codziennie mieszany drewnianą łyżką, ocet będzie nabierał mocy. Kiedy wszystkie owoce opadną na dno, a płyn przestanie się pienić, będzie to znak, że ocet nabrał swoich dobroczynnych właściwości. Wtedy należy go przełać przez sito do butelek i przykryć

gazą. Gdy przestanie pachnieć drożdżami, wystarczy dobrze zamknąć butelki.

Jak zapewniała pani Beata podczas spotkania, szanse na to, że octy się udadzą, są duże. Tym większe, że – jak z pomocą czarodziejskiej różdżki – do każdego słoika dodała „mateczkę octową”. To zaczyn, który miał wspomóc rozpoczęcie całego procesu. Mateczka, mamy nadzieję, zrobi swoje i powstaną pachnące, smakowite octy.

Wieczór, jak to zwykle bywa w przypadku Klubu Kobiet „Panie Przodem”, przebiegał w gwarnej i pracowitej atmosferze. Panie nauczyły się nowych rzeczy, a my utwierdziłyśmy w przekonaniu, że matka zawsze jest najważniejsza. ■





KARP ŚWIĄTECZNY

SKŁADNIKI

1 karp, 1/2 l octu 10%, 2 cebule, 3 łyżki koncentratu pomidorowego, 4 łyżki mąki, 1,5 łyżki masła, 5 łyżeczek cukru, sól, pieprz do smaku

Karpia wyfiletuj, potnij na 6 kawałków, obtocz w mące z solą i pieprzem. Następnie usmaż na oleju rzepakowym. Przelóż na pociętą cebulę w piórka. Z mąki i masła zrób zasmażkę II stopnia i dodaj koncentrat pomidorowy. Do garnka wlej ocet, dwie butelki wody, liść laurowy, ziele angielskie i cukier. Wszystko zagotuj, dodaj zasmażkę i zalej wrzątkiem karpia położonego na cebuli. Serwuj na zimno następnego dnia.

GICZ JAGNIĘCA

SKŁADNIKI

6 giczy jagnięcych, 1 cebula, 5 ząbków czosnku, 2 marchewki, 1 seler, 2 pietruszki, 5 liści laurowy, 10 ziaren ziela angielskiego, 2 gałązki rozmarynu świeżego, 200 ml oleju, 2 butelki piwa ciemnego, 1/2 l rosółu

Wszystkie składniki zetrzyj na tarce o grubym oczku i obłóż nimi giczkę, dodając sól i pieprz. Następnie dodaj olej i jedną butelkę ciemnego piwa. Tak zamarynowane giczkę pozostaw na 48 godzin. Po upływie tego czasu wyjmij z marynaty, obtocz w mące z odrobiną soli i pieprzu. Podsmażyć na oleju i przelóż do brytfanki lub do naczynia żaroodpornego. Wszystko zalej rosółem i jedną butelką piwa. Piecz w piecu w temperaturze 180 stopni przez pierwszą godzinę, drugą godzinę 140 stopni i trzecią godzinę 120 stopni.

DLA KAŻDEGO COS DOBREGO

Nie mogło być inaczej. Dziś w części kulinarnej propozycje prosto z restauracji Gusto. Jak mówił w rozmowie z nami jej właściciel, Zbigniew Kruszewski: „smak jest w palcach”. Dlatego mamy nadzieję, że i Państwo ten smak w palcach odnajdziecie. A ponieważ ćwiczenia czynią mistrza poniżej kilka przepisów.





KACZKA

SKŁADNIKI

6 udek kaczki, 2 gałązki rozmarynu, 5 ziaren ziela angielskiego, 5 liści laurowych, 3 ząbki czosnku, 1 cebula, 1 łyżeczka pieprzu kolendrowego, 1 łyżeczka soli ziołowej, 1 szklanka czerwonego wina, 1/2 szklanki oleju, 1/2 litra rosółu, 1 pomarańcza, 1 marchewka, 1 gałązka selera naciowego

Uda kaczki zamarynuj we wszystkich podanych produktach i pozostaw na 24 godziny, następnie podsmaż na klarowanym maśle, przełóż do naczynia żaroodpornego wraz z marynatą i zalej rosółem. Przez pierwszą godzinę piecz w temperaturze 180 stopni, a drugą godzinę w 140 stopniach.



KREM Z PIECZONYCH BURAKÓW

SKŁADNIKI

5 dużych buraków, 2 litry rosółu, 100 g sera gorgonzola, natka pietruszki, sól i pieprz do smaku, 1 ząbek czosnku, 1 mała cebula, 50 g masła

Buraki umyj, włóż do naczynia żaroodpornego, zalej 1 litrem rosółu i piecz w temperaturze 180 stopni przez godzinę i piętnaście minut. Po upieczeniu obierz buraki, pokrój w kostkę i włóż do garnka z masłem, czosnkiem i cebulką. Wszystko należy podsmażyć i na końcu zalać rosółem. Zblenduj wszystkie składniki.

Podawaj z gorgonzolą i posiekaną natką pietruszki.



ŚLEDZIK

SKŁADNIKI

1 kg filetów śledziowych, 3 cebule, 3 ogórki kiszane, 1 litr oleju rzepakowego tłoczonego na zimno

Filety śledziowe wymocz w wodzie dwukrotnie. Następnie cebulę pokrój w piórka, ogórek w zapalki, a filety śledziowe pokrój w słajsy (jak na sushi). Takie cięcie powoduje równe zamarynowanie śledzika. Połącz wszystkie składniki i zalej olejem.



SERNIK Z BIAŁĄ CZEKOLADĄ

SKŁADNIKI

1 duża paczka herbatników PETIT czekoladowych, 9 jajek, 10 łyżek cukru, 2 cukry waniliowe, 1 olejek pomarańczowy, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, 1 pomarańcza, 5 białych czekolad, 2 kg twarogu najlepiej PRESIDENT sernikowy, 1/2 l śmietany 36% Mlekovita

Herbatniki pokrusz w rękach i dodaj trzy ubite jaja z cukrem waniliowym. Wszystko zagnieć i wyłóż na blaszce do pieczenia. Piecz spód w piekarniku w temperaturze 170 stopni przez 10 min. Ubij 6 jajek z 10 łyżeczkami cukru i jednym cukrem waniliowym tak jak na biszkopt. W kąpiel wodnej rozpuść białą czekoladę wraz ze śmietaną. Do miski przełóż twaróg i dodaj startą skórkę pomarańczy, olejek pomarańczowy i proszek do pieczenia. Wszystko wymieszaj różgą, dodaj ubite jaja i rozpuszczoną śmietaną z czekoladą. Przelej wszystko na upieczony spód i włóż do rozgrzanego piekarnika o temperaturze 160 stopni.

Czas pieczenia 1 godzina. Po upieczeniu pozostaw ciasto na kolejną godzinę, nie otwierając piekarnika, aby nie opadło.



Zima

*„Zima nocą przychodzi, jak kochanka spóźniona,
zrzuca białą etolę, co skrywa ramiona,
pod próg cicho się skrada, biel dziewiczą ci niesie
i zacięra żal po tej, która zwała się jesień.
Szronem będzie uwodzić, włosy głaskać ci puchem,
A pod nogi położy bieluteńką poduchę...”*

Ewa Jowik